

RZECZY WSPÓLNE

PISMO
REPUBLICAŃSKIE

NR 9 (3/2012)
CENA 25 PLN (5% VAT)
PISMO NIEDOTOWANE

KTO **NAPRAWDĘ** RZĄDZI POLSKĄ?



**JEDNOLITY SYSTEM KIEROWANIA KRAJEM
WIELKA POLSKA POWIEŚĆ
ZROZUMIEĆ GLOBALNY KAPITALIZM**

**ROKITA, MATYJA, STANISZKIS, ZYBERTOWICZ, THOMPSON, KOEHLER,
ORZECHOWSKI, STAWROWSKI, KOMUDA, WIPLER, BOSAK**

RZECZY WSPÓLNE

PISMO
REPUBLICAŃSKIE

nr 9 (3/2012)

W numerze:

KTO NAPRAWDĘ RZĄDZI POLSKĄ?

O paradoksie władzy w czasach pryncypatu – *Jan Rokita* 8

Jednolity System Kierowania Krajem – *Rafał Matyja* 18

Państwo nie panuje nad własnym aparatem – *Paweł Soloch* 30

„Układ”, czyli przeciwnik źle zdefiniowany – *Leszek Skiba* 38

III RP w pułapce niewiedzy – rozmowa z *Andrzejem Zybortowiczem* 46

Niekontrolowane wpływy niejawnych sił – *Paweł Ruszkowski* 60

Bydgoska ośmiornica ma się dobrze – rozmowa z *Ewą Starostą* 68

O budowaniu republiki uwag kilka – *Janowi Rokicie* do sztambucha – *Przemysław Wipler* 74

JAK GLOBALIZACJA ZMIENIA WŁADZĘ

Kto rządzi światem? Kto rządzi Polską? – *Jadwiga Staniszkis* 84

Władza w epoce chaosu. Część pierwsza: zrozumieć globalny kapitalizm – *Andrzej Maśnica* 94

EUROPA NA ROZDROŻU

Triumf polityki siły i problemy z demokracją w Europie – *Tomasz Grzegorz Grosse* 116

Unia Europejska jako antyrepublika – *Maciej Brachowicz* 128

NOWOCZESNE PROBLEMY Z TOŻSAMOŚCIĄ

Człowiek, który był Solomonem Perelem – *Piotr Bartula* 146

Homo sovieticus – dezaktywacja – *Zbigniew Stawrowski* 158

IDEE: STANISŁAW ORZECHOWSKI

Stanisław Orzechowski, czyli ustanowienie dyskursu republikańskiego – *Krzysztof Koehler* 174

Chimera (fragment rozprawy) – *Stanisław Orzechowski* 194

KSIĄŻKI

Wielka polska powieść – *Ewa Thompson* 202

Ameryka między imperium a republiką – *Michał Kuź* 208

Gościnni, zacni hultaje – rozmowa z *Jackiem Komudą* 216

Rzecz wstępna

W piątym roku obecności Platformy Obywatelskiej u władzy jest chyba oczywiste, że Polska znów nierządem stoi. Brak strategii rozwoju (realizowanych, a nie deklarowanych), bierna polityka zagraniczna, bałagan w ministerstwach (i prawie całym tzw. sektorze publicznym), skutkujący niezdolnością do wprowadzania zmian tak drobnych, jak wymiana dowodów osobistych, czy jednoczesny przyrost zadłużenia i rozrost biurokracji – składają się na obraz kraju dryfującego, z perspektywą utonięcia w nierządności.

Równolegle, co paradoksalne, obserwujemy proces bezprecedensowej koncentracji władzy w rękach jednej osoby – Donalda Tuska, który w ostatnich latach przekształcił PO w partię par excellence wodzowską. I niepokojącą erozję obywatelskich wolności, od rekordowej liczby podstępów, po próbę ograniczenia swobody zgromadzeń (co zakłada prezydencki projekt ustawy). Jednak duża część korodujących nasze wolności procesów dzieje się niezależnie od woli polityków – i poza ich zasięgiem.

Spopularyzowane przez XVII-wiecznych sarmackich poetów dictum „Nierządem Polska stoi” było prawdopodobnie przeinaczeniem pochodzącej ze „złotego wieku” maksymy „Polska nie rządem stoi, a swobodami obywateli”, odzwierciedlającej republikański charakter państwa, które na wolności indywidualnej i zbiorowej zbudowało jedną z największych politycznych potęg Europy. Państwa opartego na samorządnym społeczeństwie, które nie potrzebowało absolutnych władców, lecz rządów prawa.

Gdy ówczesna Rzeczpospolita została stopniowo zawłaszczona przez królewską, to ostatnie powiedzenie ustąpiło racji bytu pierwszemu. Republika przepoczwarzyła się w oligarchię, a wolność – w warcholską anarchię. Nieświadome tego masy szlacheckie wciąż brały zaś zmurszą fasadę dawnej Rzeczypospolitej za rzeczywistość.

To ważne memento dla wszystkich ceniących wolność społeczeństw, a dla

współczesnych Polaków w szczególności. III RP, państwo od początku w dużej mierze fasadowe, z pewnością nie swobodami obywateli, lecz nierządem stoi. Zarazem jednak – i to chyba główne historyczne novum – podejmowana jest przytłaczająca liczba decyzji regulujących różne sfery naszego życia. Pomimo radykalnej słabości rządu podlegamy więc często przykrej, arbitralnej władzy – i jako obywatele, i jako ludzie prywatni.

Kto zatem naprawdę rzadzi Polską? Próbie odpowiedzi na to pytanie poświęciliśmy tytułowy dział najnowszego numeru „Rzeczy Wspólnych”. Takie poszukiwania rozbijają się w dużej mierze o brak danych, jednak zarys wyjaśnienia jest już dziś możliwy. Wyjaśnienia, dodajmy, niepokrywającego się z żadną z głównych opowieści – ani „salonowych”, ani „antysalonowych” – o tym, kto współczesną Polską rządzi.

Działowi tytułowemu towarzyszą dwa eseje potączone hasłem „Jak globalizacja zmienia władzę”, eksponujące tyleż często niedoceniany, co opacznie pojmowany aspekt problemowy z rządzeniem we współczesnym świecie.

W pozostałych blokach tekstów przyglądamy się psychologicznym problemom współczesnego człowieka i obywatela, dalece niebagatelnym dla wszelkich refleksji i prób państwowotwórczych („Nowoczesne problemy z tożsamością”), i dylematom rodem z greckich tragedii, w jakie – w dużej mierze na własne życzenie – uwickłała się Unia Europejska („Europa na rozdrożu”). Dział „Idee” poświęciliśmy tym razem nieśluszenie zapomnianemu XVI-wiecznemu pisarzowi politycznemu, bez którego znajomości trudno naszym zdaniem zrozumieć nowożytną polskość: Stanisławowi Orzechowskiemu.

Zapraszamy do lektury.

Bartłomiej Radziejewski
Redaktor naczelny

UCZCIWA?

konkurencja idei!

„Krytyka Polityczna”

– 106 400 zł dotacji Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego w 2012 r.

„Res Publica Nowa”

– **105 982** zł dotacji MKiDN w 2012 r.

„Tygodnik Powszechny”

– **105 000** zł dotacji MKiDN w 2012 r.

„Znak” (miesięcznik)

– **103 360** zł dotacji MKiDN w 2012 r.

„Przegląd Polityczny”

– **97 560** zł dotacji MKiDN w 2012 r.

**RZECZY
WSPOLNE** – **0 zł dotacji MKiDN w 2012 r.**

Oni istnieją dzięki decyzjom urzędników.

My – dzięki MĄDRYM WYBOROM naszych Czytelników.

Chcesz nas wesprzeć? Wpłać darowiznę na nasze konto

(Alior Bank 84 2490 0005 0000 4520 9156 1754),

w tytule przelewu wpisując **darowizna na „RW”**.

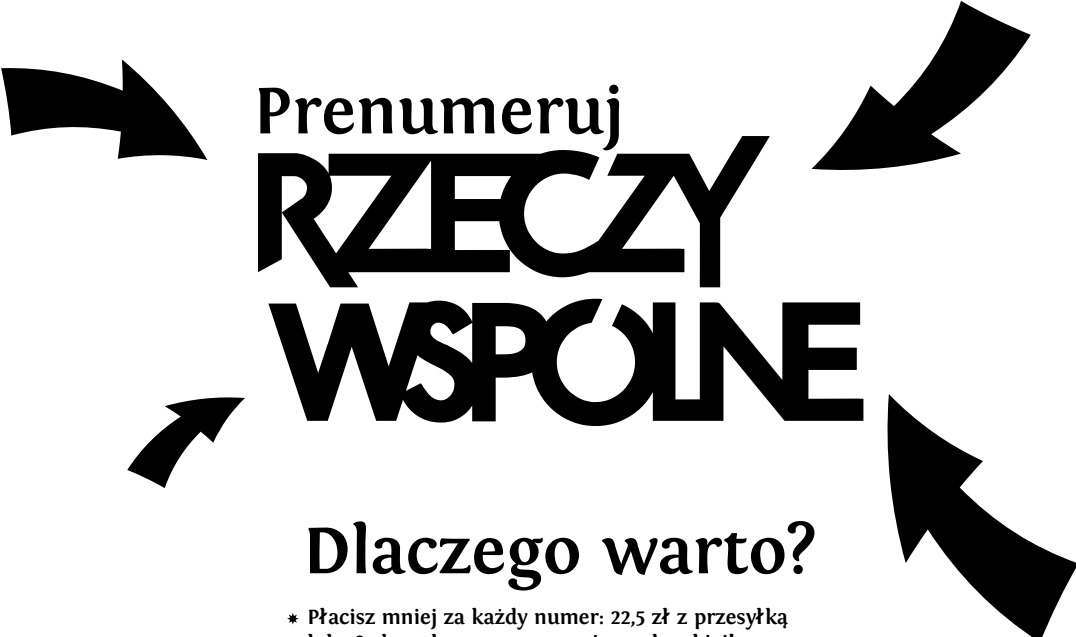
Szczególnie ważna jest dla nas regularność wpłat, nawet najmniejszych.

Daje nam bowiem stabilizację i umożliwia planowanie rozwoju.

Każda złotówka ma znaczenie!

Możesz również wykupić prenumeratę wspierającą (szczegóły obok).

Wybieraj mądrze. Wspieraj pismo niedotowane.



Prenumeruj **RZECZY WSPÓLNE**

Dlaczego warto?

- * Płacisz mniej za każdy numer: 22,5 zł z przesyłką lub 16 złotych w prenumeracie studenckiej!
- * Wysyłamy pismo pocztą, gdy tylko otrzymujemy je z drukarni,
- * Wspierasz „RZECZY WSPÓLNE” bezpośrednio – bez marż pośredników,
- * Pomagasz nam długofalowo planować rozwój pisma i rozwijać działalność Fundacji Republikańskiej,
- * Możesz też wykupić prenumeratę wspierającą (180 złotych rocznie) i zostać Darczyńcą Fundacji Republikańskiej.

Wejdź na stronę

www.rzeczywspolne.pl/prenumerata

lub zamów pismo mailem pod adresem:

prenumerata@rzeczywspolne.pl.

Wpłaty:

Prenumerata tradycyjna: **90 złotych / rok**

Prenumerata wspierająca: **180 złotych / rok**

Prenumerata studencka: **64 złote / rok**

Prosimy kierować na konto:

Fundacja Republikańska Alior Bank 84 2490 0005 0000 4520 9156 1754 z dopiskiem „prenumerata”

Wesprzyj Fundację Republikańską!

Drodzy Czytelnicy „Rzeczy Wspólnych”,

Jako Fundacja Republikańska widzimy, że nasze państwo jest słabe, nierządne, skorpumpowane i przesadnie zbiurokratyzowane. Brakuje mu niezbędnych do skutecznego rządzenia narzędzi, a życie publiczne jest skolonizowane przez osoby i grupy działające we własnym, a nie wspólnym interesie.

Dlatego celem tworzonych przez nas instytucji obywatelskich jest działalność na rzecz:

- prymatu dobra wspólnego nad interesami prywatnymi w polskim i europejskim życiu publicznym,
- **podmiotowości Rzeczypospolitej** w wymiarze wewnętrznym i zewnętrznym,
- funkcjonowania polskich i europejskich instytucji publicznych **w duchu zgodnym z chrześcijańską koncepcją człowieka**, w szczególności w zakresie ochrony życia ludzkiego od naturalnego poczęcia do naturalnej śmierci.

W ciągu ostatniego roku zrealizowaliśmy wiele projektów przyczyniających się do realizacji zakładanych przez nas celów:

- **Raport na temat otwarcia zawodów regulowanych**, wraz z propozycjami zmian, który stał się podstawą do rozpoczęcia prac przez Ministerstwo Sprawiedliwości.
- **Raport na temat polityki prorodzinnej** w wybranych krajach Unii Europejskiej wraz z przeglądem stosowanych rozwiązań.
- **Szkoła Letnia Akademii Młodych**. Projekt edukacyjno-szkoleniowy mający na celu wprowadzenie młodych ludzi do przestrzeni publicznej.
- **„To nie jest kraj dla młodych ludzi”**. Film dokumentalny opowiadający o Polsce i naszych propozycjach zmian.
- **Spotkania czwartkowe**. Seria cotygodniowych spotkań z zaproszonymi ekspertami i komentatorami życia publicznego.

Wszystkie projekty realizowane przez Fundację Republikańską wymagają pracy i niezadko znacznych nakładów finansowych. Jesteśmy jedną z niewielu instytucji polskiego życia publicznego, która **nie korzysta z grantów ani dotacji publicznych**. Nasza działalność jest finansowa głównie z dobrowolnych darowizn naszych fundatorów i darczyńców – osób, którym bliskie są wyznawane przez nas idee. Aby sprawnie funkcjonować, musimy planować nasze działania z wyprzedzeniem. Dlatego szczególnie zachęcamy do regularnych wpłat w formie statych przelewów. **Niezależnie od kwoty, jaką wpłacisz, bierzesz udział w budowaniu trwałej i niezależnej instytucji, która**



działa w trosce o dobro wspólne. Istnieje kilka sposobów wsparcia tworzonych przez nas instytucji:

- **Wesprzyj Fundację dowolną kwotą na nasze konto: Alior Bank 84 2490 0005 0000 4520 9156 1754** z dopiskiem „**darowizna na cele statutowe**”. Więcej informacji na stronie: <http://fundraising.republikanski.org/>
- **Przekaż 1% swojego podatku na działalność Fundacji Republikańskiej**, wpisując w formularzu PIT w polu „Numer KRS”: **0000031762** oraz w polu „Cel szczegółowy”: **600000060184, Fundacja Republikańska**. Więcej informacji na stronie: <http://1procent.republikanie.org/>

Pomóż rozwijać zespół niezależnych ekspertów!

Jedną z trzech najważniejszych form działalności Fundacji Republikańskiej jest **budowanie niezależnego zaplecza eksperckiego**. W tym celu stale rozwijamy grupę **ponad sześćdziesięciu ekspertów**, sukcesywnie wprowadzając ich do przestrzeni publicznej. W naszych działaniach skupiamy się w szczególności na najważniejszych problemach trapiących polskie życie publiczne. W tym celu powołujemy kolejne zespoły eksperckie, m.in. do spraw **rodziny, deregulacji, finansów publicznych czy energetyki**.

Pierwsze sukcesy mamy już za sobą. Tylko w ostatnim czasie eksperci Centrum Analiz opracowali m.in. **Raport na temat otwarcia zawodów regulowanych** wraz z propozycjami niezbędnych zmian. Stał się on jednym z głównych tematów ostatniej kampanii wyborczej. Po wyborach postulat deregulacji zawodów był jednym z najważniejszych punktów exposé premiera Donalda Tuska, a sam **raport stał się podstawą do rozpoczęcia prac przez zespół pod przewodnictwem Ministra Sprawiedliwości** Jarosława Gowina. Eksperci skupieni wokół Zespołu ds. Rodziny są autorami **Raportu na temat polityki prorodzinnej** w wybranych krajach Unii Europejskiej wraz z przeglądem stosowanych rozwiązań, który został opublikowany pod koniec marca br.

Rozwijamy także własne kanały komunikacji. Od początku istnienia CAFR opublikowaliśmy na dedykowanej stronie <http://www.cafr.pl/> już sto komentarzy, a część z nich zostało przedrukowanych w największych tytułach prasowych, m.in. w „Rzeczpospolitej”, „Naszym Dzienniku” i „Gazecie Polskiej”.

Podoba Ci się to, co robimy? Wesprzyj nas, zostając naszym wolontariuszem, ekspertem, a także wpłacając darowiznę na nasze konto **Alior Bank 84 2490 0005 0000 4520 9156 1754** z dopiskiem „**darowizna na CAFR**”. Jeżeli jesteś zainteresowany wsparciem prac w konkretnej dziedzinie, którą zajmuje się jeden z naszych zespołów eksperckich, **skontaktuj się bezpośrednio z koordynatorem fundraisingu** – Marcelem Klinowskim – tel.: 607 772 047, e-mail: marcel.klinowski@republikanie.org.

0 paradoksie władzy w czasach pryncypatu

JAN ROKITA

Dostrzec i nazwać można obecnie fakt spontanicznej i mało przejrzystej dekoncentracji, rozproszenia zwyczajnej władzy, a w efekcie jej ewidentnego odpolitycznienia. Taka depolityzacja *potestas* (rządzenie), kierującej się racjonalnością nie ściśle polityczną, ale ekonomiczno-rządową, stanowi logiczne następstwo koncentracji w ręku sternika politycznej *auctoritas* (zwierzchnictwo), sprawowanej na dodatek w warunkach niedorozwiniętego organizacyjnie i instytucjonalnie centrum władzy. Rozpad władzy jest więc paradoksalnie ceną jej skupienia. I zaświadcza o kryzysie polityki, rozgrywającym się w samym jej rdzeniu.



Wiele się zmieniło ostatnimi czasy, gdy idzie o kształt i repartycję władzy w Polsce. Jeszcze parę lat temu polska polityka wyglądała dość republikańsko: mnogość ośrodków

go kształtu władzy niektórzy nazwali „towarzystwem”, nieświadomie raczej nawiązując do ateńskich „heterii” wspieranych dwa i pół tysiąca lat temu przez Alkibiadesa (Zygmunt

Szef PO przekształcił swoją formację w partię nowego typu, w której wszelka próba podniesienia publicznej debaty o sprawach państwa albo własnego obozu kwalifikowana jest jako poważne wykroczenie, bliskie zdrady.

wplywu, rozwinięta aż do przesady konkurencja polityczna, liczni zwalczający się i aspirujący do władzy liderzy, partie publicznie debatujące nad stanem własnym i kondycją kraju. Nawet postkomunistyczna lewica przestała udawać partyjny beton, upodabniając się do nieco warcholско-sarmackiego polskiego modelu. Co charakterystyczne dla takiego republikanizmu – w teatrze polityki mieszały się aktorzy wybitni i beztalencja, żarliwi i cyniczni, wyrafinowani i prostacy, wiodąc nawzajem spory prawdziwie wielkie na przemian z groteskowymi.

Ale pod spodem tej nieco rozwichrzonej republiki czaiło się niebezpieczeństwo koterii. Czyli takiej struktury władzy, która po pierwsze – jest nieformalna i jak rdza żżera oficjalne instytucje i procedury; po drugie – po cichu dystrybuuje korzyści i przywileje; a po trzecie – grozi przekształceniem oficjalnego porządku polityki w nieprawdziwą fasadę. To zagrożenie dla republikańskie-

Kubiak tłumaczył właśnie grecką *Εταιρεία* jako „towarzystwo”). A Jarosław Kaczyński z właściwą sobie przesadą uogólnił ów niejawny mechanizm władzy przy pomocy sławnej figury układu.

Powstanie pryncypatu

Czasy tamtego republikanizmu minęły, a ich najpełniejszym i najbardziej urokliwym wspomnieniem pozostanie zapewne Akcja Wyborcza Solidarność (choć przyznać trzeba, że spektakl rządów sprawowanych w trójkącie Kaczyński-Giertych-Lepser miał także dość podobną naturę). Przetomowy dla kształtu władzy stał się dopiero rok 2007. Platforma Obywatelska wygrała tamte wybory, a jej przywódca wziął po prostu pełnię władzy dla siebie i zachował ją do dzisiejszego dnia. Najpierw przy pomocy zręcznej, choć niezbyt czystej intrygi, pozbył się nie tylko konkurencji wewnątrzpartyjnej, ale także wyeliminował lub co najmniej obezwładnił wszelakie potencjalnie podmiotowe

figury we własnym obozie. Nawet aferę korupcyjną, jaka wybuchła w PO (tzw. afera hazardowa), potraktował jako daną przez los szansę na odsunięcie i upokorzenie swego zastępcy oraz rozbicie stworzonego wcześniej wokół urzędu premiera polityczno-towarzyskiego dworu.

Ten ostatni przypadek wart jest szczególnej uwagi; zazwyczaj bowiem władza traktuje afery korupcyjne w swoich szeregach jako nie-szczęście albo co najmniej kłopot, bardzo rzadko zaś – jako wyborną okazję dla przeprowadzenia rozległej intrygi personalnej. Następnie szef PO ukończył proces przekształcania swojej formacji w partię nowego typu, w której wszelka próba podniesienia publicznej debaty o sprawach państwa albo własnego obozu kwalifikowana jest jako poważne wykroczenie, bliskie zdrady, a jest jako poważne wykroczenie, bliskie zdrady, niesienia publicznej debaty o sprawach państwa albo własnego obozu kwalifikowana zaś pierwszym prawem rządzącym organizacją jest uległość względem nawet najbardziej kapryśnej woli lidera i publiczne głoszenie jego chwały (minister transportu posunął się nawet do ogłoszenia genialności swojego przywódcy i prawie nikogo to nie zdziwiło).

To sprawiło, że publiczne enuncjacje polityków z konieczności utraciły związek ze światem realnym, przekształcając się w nieznośną dla normalnego umysłu i straszliwie monotonną ewokację stanów emocjonalnych. Z kolei takie przekształcenia

partii prowadzić musiały do upadku znaczenia parlamentu, który z natury jest ciałem deliberującym i głosującym. Kiedy więc deliberacja o realiach została zakazana nie tylko na forum izby, ale nawet sejmowych komisji, a głosowanie stało się w zasadzie (z bardzo rzadkimi, motywowanymi religią wyjątkami) sprawdzianem subordynacji wobec lidera – sam parlamentaryzm w przyspieszonym tempie zaczął się stawać polityczną atrapą. W końcu premier obsadził swoje kolejne dwa rządy i inne kluczowe stanowiska w państwie z wyraźną dbałością o to, aby ludzie je sprawujący albo nie mieli wystarczającego charakteru, albo pozycji politycznej, albo zostali spętani więzami instytucjonalnej zależności, tak by być zmuszonymi do uległości.

W ten sposób republikański model stosunków politycznych ewoluował w stronę sui generis pryncypatu. Osobista władza princepsa jest tylko do pewnego stopnia związana z formalno-prawnymi kompetencjami (bynajmniej w Polsce niebłahymi), jakie daje stanowisko szefa rządu. Prowadzenie lidera PO rozciąga się bowiem daleko ponad dziedzinę tych kompetencji, przykładowo: na władze samorządowe, w których (jak ostatnio w Małopolsce) poleca imiennie, kogo usunąć, a kogo powołać, albo na Trybunał Konstytucyjny, którego sędziów akceptuje przed dokonaniem formalnego wyboru. Bezwzględnie podlegają mu postowie własnego obozu, których może postawić bądź skreślić z list wyborczych.

Kluczowe jednak nie są nawet owe suprapremierowskie prerogatywy, ale raczej realna pozycja pierwszego (*princeps*) i najlepszego obywatela (*optimus civis*), bez którego co najmniej domniemanego przyzwolenia nie jest wykonywana żadna praktycznie władza polityczna. To ten właśnie fakt wywołuje szczególną irytację opozycji, która skłonna jest interpretować go jako swego rodzaju nieformalną zmwę. W prowincjonalnym Krakowie mogłem swego czasu obserwować, jak upowszechniana szeptem pogłoska (jak się miało później okazać – nieprawdziwa), iż „Tusk podobno jest przeciw” blokowała lokalne decyzje władz publicznych albo modyfikowała ich politykę. W analogii do republiki rzymskiej, która pierwsza zdefiniowała tego rodzaju ewolucję władzy, rzecz można, że szef PO posiada dziś w Polsce *auctoritas principis*; a jego realna funkcja państwowa – jakby ją określił Cyceron – to *rector rei publicae* – sternik państwowej nawy.

Władza jako emocjonalne widowisko

Ale współczesną polityczną *auctoritas* buduje się przecież – by posłużyć się celnym cytatem z Krzysztofa Rutkowskiego – „osiągając najbardziej eksponowaną pozycję widowiskową dla siebie i swojej trupy oraz utrzymując ją jak najdłużej dzięki sztuczkom medianów-specjalistów”. Jeśli premier za jednym zamachem chce przekonać, że niezupełnie gotowa autostrada

jest jednak całkiem gotowa, a Murzyni są – wbrew angielskiej telewizji – w Polsce bardzo kochani – to zawiadamia odpowiednie media, że właśnie ową niegotową/gotową autostradą będzie jechać na obiad do swojego kolegi Murzyna. Tak działa władza, jako mechanizm permanentnej kreacji widowiska.

Najważniejsze dla władzy są te odstony widowiska, które pobudzają silne i tożsamościowe zbiorowe emocje. Znanym i nieże już opisanym wynalazkiem szefa PO jest to, że można nieustannie pobudzać złe ludowe emocje, ukierunkowując je w stronę własnych politycznych przeciwników. Ten wynalazek nie tylko dał władzę PO, ale umożliwił również skonstruowanie sprawnej jak dotąd maszynarii dla jej utrzymywania. Jasno z tego wynika, że ci spośród „medianów” (czyli uczestników widowiska zdolnych zwracać na siebie większą od innych uwagę), którzy ową maszynarię potrafią skutecznie się posługiwać, muszą pełnić doniosłą rolę w hierarchii władzy. Ta ich pozycja nie wynika ani z jakichś cnót umysłu bądź charakteru, ani też woli i możliwości przeobrażania państwa bądź jego praw. Jej źródłem jest umiejętność publicznego zwalczania, a jeszcze lepiej – obrzydzania przeciwnika.

Egzystencja i moc takich emocji jest niczym innym, jak budulcem *auctoritas*, jakąś nowoczesną formą legitymizacji władzy. Medianci, którzy gwarantują nieustanną rewitalizację zbiorowych namiętności, stanowią zatem filar nośny władzy. Są jak Dziesiąty



Legion dla Cezara lub Oprycznina dla Iwana IV. O wiele istotniejsi niżli partia, która w wyobrażeniach sternika jest

innego codziennie egzekwowana *po-testas* w prowadzeniu spraw państwa. Współcześnie to Giorgio Agamben

Publiczne enuncjacje polityków z konieczności utraciły związek ze światem realnym, przekształcając się w nieznośną dla normalnego umysłu i straszliwie monotonna ewokację stanów emocjonalnych.

przecież tylko niezdarnym, choć dowolnym narzędziem, niezbędnym do odnawiania formalnego mandatu władzy w toku demokratycznych procedur wyborczych. Taka jest geneza politycznej więzi spajającej sternika z tym, co opozycyjni politycy i pisarze zwykli nazywać już nie tyle obciążonym historycznie terminem „układ”, ale najczęściej antyelitarystycznie brzmiącym słówkiem „salon”. Tylko że opozycyjni pisarze zwykli ignorować fakt, iż analogiczny salon własnych wybitnych medianów posiada także wielki adwersarz i naśladowca aktualnego sternika – Jarosław Kaczyński. I że Prawo i Sprawiedliwość to przecież obecnie siostrzana wobec PO partia nowego typu, mniej groźna tylko dlatego, że jest w opozycji, a Rymkiewicz-Rydzik-Pospieszalski to prawdopodobnie sprawniejsza już dzisiaj ekipa medianów pobudzających złe ludowe emocje niżli Wajda-Michnik-Wojewódzki.

Zwierzchnictwo i rządzenie – odmienne racjonalności

Co innego *auctoritas* i legitymizacja (nawet mocno zdegenerowana) władzy zwierzchniej sternika, a co

zwrócił szczególną uwagę na to, że ich racjonalności są mocno odmienne. Być zdolnym do utrzymania uprawionego zwierzchnictwa to zupełnie nie to samo, co po prostu rządzić. Władza sternika jest zresztą usytuowana na zbyt wysokim pułapie, aby na co dzień sprawować zwykły zarząd wielosektorową administracją. A też obaj wielcy polityczni protagoniści, Tusk i Kaczyński, są pasjonatami gry personalnej i rywalizacji politycznej, nie zaś trudnej sztuki rządzenia państwem. Obaj pospół są też spadkobiercami późno sarmackiego dziedzictwa politycznego (zdegenerowanej wersji przedrozbiorowej tradycji), lekceważącego w polityce znaczenie instytucji i nadwartościowującego polityczną wagę układanki personalnej.

Aby faktycznie rządzić, sternik potrzebowałby więc jeszcze swojego premiera. Tak jak Victor Orbán na Węgrzech, który okazał się na tyle przenikliwy, aby mianować Tibora Navracsicsa własnym rządowym alter ego i nawet zmienić dlań konstytucję tak, aby ów mógł zwyczajnie kierować pracami gabinetu. Albowiem jedną z istotnych cech nowoczesnego

dobrego rządu jest zdolność jednoczesnego sterowania dużą liczbą procesów i panowania nad rezultatami licznych, w tym samym czasie toczących się procedur. To zaś wymaga doskonale zorganizowanego zarządczego centrum. Bez tego kolosalna władza sternika trafia w próżnię, jeśli próbuje wykroczyć poza intrygę personalną i panowanie nad ludźmi. Dlatego tak wiele spośród zapowiedzi i inicjatyw Donalda Tuska pozostaje pustym słowem, a te, które wcielają się w państwową realność, posuwają się z wielkim mozółem i oporem.

Niektórzy skłonni są sądzić, iż tak się dzieje, dlatego że sternik jest kłamcą. Nie w tym jednak rzecz. W dzisiejszym systemie władzy metabolizm polskiej państwowości trwale by się zatkał, gdyby chciał przeprowadzić tylko jedną dziesiątą reform podjętych skutecznie w ciągu dwóch ostatnich lat przez rząd węgierski.

Kto rządzi naprawdę?

Taka diagnoza zmusza do postawienia jeszcze jednego pytania o władzę. Kto w takim razie sprawuje realną *potestas* nad licznymi dziejącymi się procesami politycznymi, ustawodawczymi, administracyjnymi? Kto np. forsuje wątpliwej jakości reformy szkolne, które – co jest wyraźnym wyjątkiem od panujących reguł – mają cały czas polityczny i administracyjny impet, mimo że w świecie polityki nie widać nikogo, kto by się do nich przyznawał i nadawał im tempo? Albo kto steruje polityką radykalnego zwiększania ilości podstępów i inwigilacji? Dzięki

jakiemu mechanizmowi możliwa jest praktyka „wrzutek do ustaw”, jak choćby z żywnością GMO przy ustawie o nasiennictwie?

Tego typu szczegółowych pytań o rzeczywiste skupiska władzy w czasach pryncypatu Tuska postawić można parę setek. Próba odpowiedzi zawsze wynika bardziej z domniemań i ocen aniżeli z realnej wiedzy o państwie.

Jedna z popularnych „narodowych” teorii szuka wyjaśnienia z pozoru niesterowanych procesów w działającym po latach europejskiego treningu mechanizmie nietwórczego, automatycznego kserowania modeli zewnętrznych, zwłaszcza jeśli mają one jakieś zakorzenienie w unijnym *acquis communautaire*. Jednak przekonanie, iż państwo polskie wypracowało samoczynną umiejętność takiego eurokserowania, nie zdaje praktycznego sprawdzianu. Odkąd bez głębszego namysłu Tusk zlikwidował Komitet Integracji Europejskiej, który przez lata siłą i podstępem zmuszał instytucje polskiego państwa do europeizacji, tak administracja, jak i parlament utraciły zdolność sprawnego absorbowania unijnego dorobku. Drastycznym tego świadectwem jest skierowane ostatnio przez Komisję Europejską przeciw Polsce powództwo sądowe, z żądaniem zmuszenia Warszawy do zaprowadzenia uchwalonych jeszcze w 2009 r. reguł rynku telekomunikacyjnego i zapłaty horrendalnej wysokości kar.

Należy zatem raczej szukać innych niż zewnętrzne mechanizmów reparacji władzy. Są np. urzędy oplecione



przez lata jakimś „towarzystwem” ekspertów-lobbystów; tak właśnie jest chyba z Ministerstwem Edukacji Narodowej i tu – najprawdopodobniej – tkwi tajemnica reform szkolnych. Rozproszona struktura licznych służb specjalnych była chyba dotąd w ogóle poza polityczną kontrolą; zdaje się, że jakieś minimum minimum nadzoru próbuje obecnie zaprowadzać nowy minister spraw wewnętrznych. Polityczne znaczenie niegdyś oligarchów wyraźnie zmalało jeszcze przed rokiem 2005 w wyniku afery Rywina; nie sposób dziś wiarygodnie ocenić, czy i na ile niektórzy z nich odbudowali ścieżki wpływu. Swoją drogą jest im zapewne o tyle trudniej, że wielkie partie, zdemoralizowane darmowym napływem budżetowej gotówki, raczej lekceważą obecnie ich pieniądze. A jeśli na tę kwestię spojrzeć przez pryzmat afery hazardowej, to widać raczej obraz żałosnej regionalnej sitwy niżli wielkiej korupcji, czynionej z rozmachem jak w czasach Rywina i Millera.

Od paradoksu władzy do kryzysu polityki

To, co można dostrzec i nazwać z pewnością, to fakt spontanicznej i mało przejrzystej dekoncentracji, roz-

proszenia owej zwyczajnej władzy, a w efekcie jej ewidentnego odpolitycznienia. Taka depolityzacja *potestas*, kierującej się, jakby powiedział Agamben, racjonalnością nie ściśle polityczną, ale ekonomiczno-rządową, stanowi logiczne następstwo koncentracji w rękę sternika politycznej *auctoritas*, sprawowanej na dodatek w warunkach niedorozwiniętego organizacyjnie i instytucjonalnie centrum władzy. Rozpad władzy jest więc paradoksalnie ceną jej skupienia. I zaświadcza o kryzysie polityki, rozgrywającym się w samym jej rdzeniu.

Jan Rokita (ur. 1959), krakus, uczestnik opozycji antykomunistycznej, podczas Karnawatu „Solidarności” szef Niezależnego Zrzeszenia Studentów UJ. Prawnik, poseł przez osiemnaście lat, minister w rządzie Hanny Suchockiej, kandydat na premiera w 2005, w 2007 r. wycofał się z życia publicznego. Obecnie uprawia publicystykę, uczy studentów, zgłębia sztukę włoską i mistyków oraz sporo zastanawia się nad sensem życia. Żonaty (z dość kontrowersyjną byłą postanką), córka Katarzyna – roztropna i praktyczna, kończy studia na uniwersytecie Opus Dei w Pampelunie.



Jack Komuda



fabryka słów
WYDAWNICTWO

SAMUEL
ZBOROWSKI

NIESIE TYLKO SWOJĄ SZABLĘ I HONOR.

ALE JEDNO I DRUGIE
DROZSZE JEST MU NIŻ ŻYCIE.

Dumne nazwisko, do którego lgną
wywołańcy i hultaje, jest mu tylko ciężarem.

Pamięć o strasznym ojcu ściętym
pod krakowską basztą Lubranka
skazała go na żywot tułacza i najmity.

Zborowski



WYŁĄCZNY
DYSTRYBUTOR
www.olesiejuk.pl

PATRONI MEDIALNI

RZECZY
WSPÓŁNE

HISTORIA

DEMOTYWATORY.PL

konflikty.pl
portal historyczno - militarny

III RP w pułapce niewiedzy

Z PROF. ANDRZЕJEM ZYBERTOWICZEM ROZMAWIA
BARTŁOMIEJ RADZIEJEWSKI

WSPÓŁPRACA: PAWEŁ WOJCIECHOWSKI

Odpowiedź na pytanie, czy w Polsce zakulisowi aktorzy o potencjale hegemonicznym faktycznie nie występują, nie jest dla mnie jasna. Problem polega m.in. na tym, że w ostatnich latach pogłębił się uwiąd dziennikarstwa śledczego. System odsłaniania patologii jest tak słaby, że wielu zaniepokojonych obywateli, biznesmenów, pracowników administracji, ba, funkcjonariuszy policji, tajnych służb, uważa, iż drażliwymi informacjami nie ma z kim się podzielić. I w rezultacie wiele poważnych schorzeń staje się tajemnicą poliszynela, ale nie przecieka na zewnątrz klientelistycznych sieci. Badacze nie mają dostępu do wiarygodnych informacji, na bazie których można modelować pewne procesy.



Andrzej Zybortowicz (ur. 1954), socjolog, profesor Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, gdzie w latach 1998–2006 był dyrektorem Instytutu Socjologii. Jako ekspert w zakresie transformacji systemowej w Polsce i wpływu tajnych służb na ustrój III RP był w latach 2006–2007 doradcą Komisji Weryfikacyjnej Wojskowych Służb Informacyjnych. Od lipca do listopada 2007 r. był głównym doradcą ds. bezpieczeństwa państwa premiera Jarosława Kaczyńskiego, od 2008 do 10 kwietnia 2010 r. doradcą ds. bezpieczeństwa państwa prezydenta Lecha Kaczyńskiego; w latach 2009–2010 przewodniczył Zespołowi ds. Bezpieczeństwa Energetycznego w Kancelarii Prezydenta RP. Autor koncepcji „układu” jako głównego twórcy, „opiekuna” i beneficjenta systemu

III RP. Autor wielu tekstów naukowych i publicystycznych oraz kilku książek, m.in.: *W uścisku tajnych służb. Upadek komunizmu i układ postnomenklaturowy* (1993); *Privatizing the Police-State: The case of Poland* (2000; wraz z Marią Łoś); *Transformacja podszyta przemocą. O nieformalnych mechanizmach przemian instytucjonalnych* (współredakcja z Radostawem Sojakiem, 2008); *Pociąg do Polski. Polska do pociągu* (2011).

W piątym roku rządów Platformy Obywatelskiej możemy chyba ponownie powiedzieć, że Polska znów „nie rządem stoi”. PO piastuje stanowiska kojarzone z władzą, ale nie rządzi, jeśli rozumiemy przez to definiowanie i realizację strategicznych dla państwa celów. Czy zgadza się Pan z tą diagnozą?

Częściowo. Mówienie, że nikt nie rządzi, należy traktować z dystansem. Bo nawet w przestrzeniach daleko posuniętej anarchii, chaosu wyłaniają się węzły władzy. Od zawsze ludzie organizują się na rzecz swoich interesów i gdy już jakaś grupa interesów się uformuje, to stara się jakoś kontrolować otoczenie. Nawet w najbardziej chaotycznych przestrzeniach społecznych są ogniska władzy i wpływów.

Po drugie, nawet jeśli się zgodzić z tym, że PO nie rządzi w interesie narodu czy raczej potencjalnej – jesteśmy narodem zdewastowanym, potrzebującym rekonstrukcji – wspólnoty politycznej, to nie znaczy to jeszcze, że nie rządzi w żadnym

interesie, że w ogóle nie istnieje wymiar strategiczny jej rządów. Platforma stabilność swojego ograniczonego rządzenia m.in. zawdzięcza temu, że sporą, może kluczową,

o składzie rządu i decyduje, czy jakaś ustawa będzie szła przez Sejm, czy nie. Ale, oczywiście, działa w polu różnych wpływów. Czy znamy odpowiedź, które z nich są najważniejsze?

W obliczu zadania zachowania władzy wszystko inne staje się trzeciorzędne – każda sfera może być niesprawna: infrastruktura, służba zdrowia, edukacja, armia, tajne służby – tak długo, jak nie wywołuje konwulsji zagrażających stabilności systemu.

część swych zasobów zogniskowała na odgrywaniu roli klienta innych niż wspólnota polityczna podmiotów – wewnętrznych i zewnętrznych. Czyli mielibyśmy, w uproszczeniu, trio: sami rządzący z PO, politycy widoczni na scenie, jako bezpośredni beneficjenci, dalej oligarchowie wewnętrzni jako figury mniej widoczne, wreszcie zagraniczne grupy interesów, którym bieg spraw w Polsce odpowiada.

Wynikałoby z tego, że – pomijając penetrację zewnętrzną – III RP jest oligarchią.

Czujemy potrzebę drogi na skróty, żeby porządkować sobie obraz rzeczywistości. I być może wywód powinien zmierzać do tego, by móc w jednym zdaniu pewne złożone rzeczy uchwycić. Jednak zaczynając od tego typu podsumowań, możemy zgubić wiele istotnych spraw. Przykładowo w teorii władzy odróżnia się dość precyzyjnie władzę od wpływów. Donald Tusk ma władzę w tym sensie, że bezpośrednio podejmuje np. decyzje

Jeśli jakiś oligarcha ma instrumenty oddziaływania na partię rządzącą, to nie znaczy że on ma władzę nad społeczeństwem. Może mieć władzę nad rządzącymi, ale sprawowanie władzy zawsze wiąże się z kosztami i innymi problemami.

Na potrzeby debat o Polsce proponuję zmianę heurystyki. Mianowicie, w ostatnich latach – nie tylko w obozie patriotycznym – sformułowano mnóstwo niezłych diagnoz. Ale 98 proc. z nich to diagnozy bez konsekwencji. Poważne problemy są opisane, ich przyczyny wskazane, ale strukturalnych zmian nie ma. Pytanie „Kto rządzi Polską?” uczynimy więc częścią większego zadania, np. takiego: gdyby istniał podmiot chcący działać w interesie wspólnoty politycznej i przyspieszyć rozwój Polski, to z jakimi innymi istotnymi aktorami, podmiotami władzy i wpływu musiałby się liczyć?

Ogólnie rzecz ujmując, każdy podmiot chcący przeprowadzać reformy, musi się liczyć z dwoma typami oporu: zogniskowanego, ze strony zorganizowanych grup interesów, oraz

rozproszonego, wynikającego z naturalnych inercyjnych właściwości tkanki społecznej. I może należy przede wszystkim postawić metapoziomowe pytanie: jacy są obecnie główni aktorzy utrudniający wyłonienie się podmiotu zdolnego do skutecznego reformowania Polski? Tak sformułowane pytanie, z jasną intencją praktyczną, od razu ogniskuje nam poszukiwania tak, żebyśmy nie ekscytowali się setkami wymiarów odpowiedzi na pytanie, kto rządzi w Polsce, które mogą być zupełnie nieistotne praktycznie.

Oligarchowie wyłaniają się w każdej gospodarce rynkowej, jeśli przez oligarchów rozumiemy podmioty dysponujące dużymi zasobami gospodarczymi i potrafiące dzięki nim wywierać stały wpływ na władzę polityczną, w tym przekształcać strukturalne reguły gry. W literaturze odróżnia się tak zwane małą i dużą korupcję. Mała jest wtedy, kiedy lokalny biznesmen korumpuje urzędnika, żeby ten przymknął oczy na łapanie przepisów. Jak np. pewien pan, który nie tak dawno budując wyciąg w Zieleńcu, mógł liczyć na to, że – mimo łapania przezeń prawa – władza lokalna nie zareaguje. A duża korupcja, zwana czasem władzą strukturalną bądź przechwyceniem państwa (*state capture*), polega na tym, że oligarchowie wywierają wpływ na prawodawstwo bądź na wykładnię prawa, tak by reguły gry sprzyjały ich partykularnym interesom. Przypomnijmy niedawną zmianę, w nietypowym trybie, art. 585 Kodeksu spółek handlowych – po to, by jeden z oligarchów mógł mieć lepszy sen.

Warto jednak pytać, kto naprawdę Polską rządzi, bo bez odpowiedzi nie będziemy wiedzieć, ani kto blokuje reformy, ani jakie są realne możliwości władzy demokratycznej, a więc i jakie są szanse pokonania tych blokujących. Jak zatem opisałby Pan system władzy – czy może raczej politycznego bezwładu – w Polsce?

Przeprowadźmy eksperyment myślowy: jest Pan podmiotem ważnej gry, np. premierem Donaldem Tuskiem. Fakt, iż przez dłuższy czas utrzymuje się Pan w grze, oznacza, że umie Pan nieźle rozpoznać zasadnicze uwarunkowania tej gry. Słowem, ma Pan dostatecznie trafną mapę mentalną pola, na którym premier działa. Zasada jest taka, iż i oligarcha, i premier myślą podobnie: konstruują sobie mapy pewnych strukturalnych, postrzeganych przez nich jako faktyczne, uwarunkowań. Z mapy tej wynika m.in., że są wielkie międzynarodowe korporacje, których interesów rządząc krajem takim jak Polska, nie można ignorować.

A więc ten nasz eksperymentalny premier wie, że wielkie korporacje mają interes w podtrzymywaniu potowicznej praworządności, wie też, że jesteśmy w strefie wpływów rosyjsko-niemieckich, które swoje interesy mają chyba zdefiniowane podobnie. Nie chcą nas podbić, nie chcą Polską na co dzień zarządzać, ale oczekują, byśmy w polityce europejskiej nie byli podmiotem, lecz uległym, przewidywalnym wasalem. Z kolei dla USA priorytetem jest, byśmy nie „wchodzili im na radar”, tj. nie robili problemów.

Wydaje się, że każda ekipa rządząca Polską, funkcjonująca zgodnie z waszyngtońskimi wyobrażeniami stabilności regionalnej, może liczyć na pewne poparcie Waszyngtonu.

Polityk III RP, który rozumie rolę premiera, lepiej lub gorzej sobie te warunki uświadamia (a jeśli ma z tym kłopot, to ktoś mu pomaga). I może np. uznać, że maksimum tego, co można zrobić dla Polski w tej grze – jeśli postrzega ją zbyt deterministycznie, bezalternatywnie – jest zwasalizowanie się wobec Niemiec i dotączenie naszego, polskiego wagonu do innego pociągu w ruchu. A w obliczu zadania zachowania władzy wszystko inne staje się trzeciorzędne – każda sfera może być niesprawna: infrastruktura, służba zdrowia, edukacja, armia, tajne służby – tak długo, jak nie wywołuje konwulsji zagrażających stabilności systemu.

Postawił Pan kiedyś tezę o dominacji w Polsce antyrozwojowych grup interesu, czyli *lobbies*, pasożytniczych z perspektywy dobra wspólnego. Ile może wytrzymać organizm zaatakowany przez pasożyty?

To frapująca kwestia. Najpierw trzeba by odpowiedzieć, czy w modelu wykreowanym przez ekipę Tuska, modelu wielopiętrowego klientelizmu i z dużymi sferami gospodarki rabunkowej, sięgnięto już po rezerwy nieodnawialne. Kluczowym elementem jest tu zapewne to, na czym się nie znam, czyli system finansowy. Czy utrzymywanie w ostatnich latach wzrostu polskiej gospodarki i konsumpcji, a co

za tym idzie nie tylko społecznych przyzwoleń, ale nawet zadowolenia niemających części elektoratu, jest wynikiem kreatywnej księgowości, wobec której nieuchronnie przyjdzie moment „sprawdzam”? Czy też, z różnych powodów, rozwój będzie mógł być utrzymywany?

W istocie zdolność – z punktu widzenia rządzących – do stabilizacji jest wypadkową bardzo prostych relacji pomiędzy oczekiwaniami tych grup społecznych, które mają potencjał buntu, a poziomem zaspokojenia ich oczekiwań. Wiele grup społecznych nie ma potencjału buntu i przez to często są w rachunku politycznym po prostu pomijalne. Socjologowie dawno pokazali, iż grupy najbardziej pokrzywdzone często mają tak niskie kompetencje kulturowe i organizacyjne, że nie stanowią zagrożenia dla rządzących. Przykładowo, podaje się, że na początku transformacji w Państwowych Gospodarstwach Rolnych pracę w krótkim czasie straciło jakieś czterysta tysięcy osób. Czy słyszał ktoś o jakimkolwiek zagrożeniu rewoltą z ich strony? Dynamika ubytku miejsc pracy w górnictwie była o wiele niższa, a ile było przy tym okazji do protestów i zamieszania!

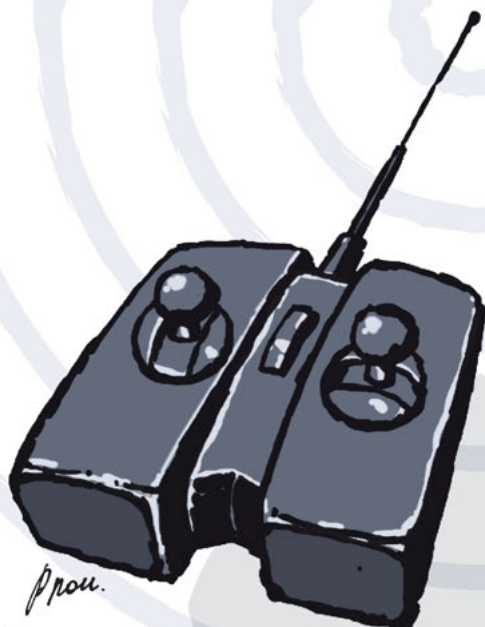
Bunt nie zaczyna się wtedy, gdy poziom zaspokojenia potrzeb schodzi do jakiegś tam kreski. Jeśli da się obniżyć poziom oczekiwań, to bunt nie następuje. Pytanie: czy system III RP się wycierpał? Sztywnymi danymi umożliwiającymi odpowiedź na to pytanie są dane finansowe, choć kreatywna księgowość potrafi je uelastycznić i zaburzyć obraz.

Nawet gdy się rozmawia z ludźmi z wielkich korporacji – pomijam biurokrację, która z natury ma miękkie finansowanie i miękkie warunki brzegowe funkcjonowania – to pokazują oni, jak wiele zasobów jest tam marnowanych. Przypomina się dowcip, w którym jeden oligarcha pyta drugiego: „Ile osób pracuje w twoich firmach?”. „Połowa”. „To czemu nie zwolnisz tej, co nie pracuje?”. „Bo nie wiem, którzy to”. Jest taka standardowa teza, oczywista dla fundamentalistów rynkowych, iż rynek selekcjonuje niezdrowe organizmy, w których znajduje się nieracjonalna alokacja zasobów. Jeśli w jakiejś firmie zatrudnia się np. za dużo osób na synekurach, niegenerujących wartości dodanej, to – w myśl tej tezy – ta firma powinna tracić konkurencyjność. Tymczasem specjaliści od teorii organizacji znają wiele przypadków narastania takich ogonów w wielu

firmach, które przez długi czas utrzymują się w grze. Zastanawiam się, czy nie jest tak, iż rozwój naukowo-techniczny dał już niektórym sektorom gospodarki tak duży bufor rozwojowy, że poziom nieracjonalności zarządczej może być dość wysoki, a jeśli firma ma dobrze rozlokowane inne aktywa i jest na rynku, to pole tolerancji dla błędów jest w dalszym ciągu spore.

W przypadku wielkich korporacji nieracjonalność zarządcza wynika jednak chyba głównie z tego, że są one zbyt blisko władzy, zmieniając reguły gry na swoją korzyść. Przykładowo, problem oligarchizacji amerykańskiego systemu politycznego jest już nieźle opisany.

Opisany, ale nic się nie dzieje. To właśnie przykład diagnozy bez konsekwencji. Po sprawie bankructwa Enronu rozpoczęła się dyskusja, czy jest to dowód słabości gospodarki rynkowej, czy państwa, którego regulacyjne uprawnienia są – jak to się mówi w literaturze – przechwytywane. Wskazuje się, że Enron współtworzył fikcyjne uniwersum symboliczne, którym przystaniano obraz nieracjonalnych decyzji finansowych i nielegalnych oddziaływań na państwo¹. Uzyskiwano preferencyjne traktowanie podatkowe, bezkarność prawną i niską rozliczalność kierownictwa firmy przez akcjonariuszy. Takie



1 Zob. np. R. L. Bradley Jr., *Capitalism at Work: Business, Government, and Energy*, Salem, 2009

oligarchiczne deformowanie reguł gry rynkowej i procesów politycznego decydowania jest statym fragmentem gry kapitalistycznej, chociaż – co istotne – w różnych krajach w rozmaitym stopniu nasilone.

Ostatnio mieliśmy w Polsce infoferę – miliardy publicznych złotych zostały wytransferowane do prywatnych kieszeni z udziałem lokalnych oddziałów wielkich koncernów typu IBM czy HP. „Rzeczpospolita” postawiła m.in. hipotezę o tworzeniu specjalnych funduszy na korumpowanie polskich urzędników.

Myślę, że prawdziwą infoferę to my dopiero możemy mieć; czy tak się stanie – wątpię. Mam na myśli dwie rzeczy: ewentualne odstonięcie, jakie były najwyższe szczyble politycznych korzyści lub/i przyzwoleń w Polsce oraz faktyczny poziom zaangażowania w tę korupcyjną grę ze strony obcych korporacji oraz państw. Niezależnie od uwikłań naszych polityków trzeba zrozumieć ogólny mechanizm. Przez lata firma Siemens realizowała w Grecji zamówienia publiczne, o wartości łącznie ponad dwu i pół miliarda euro, korumpując przy tym urzędników publicznych. Po nagłośnieniu sprawy, w bieżącym roku zawarto ugodę, w efekcie której Siemens nie tylko zrezygnował z części należnych płatności, ale jeszcze przekazał miliony euro państwu greckiemu na... walkę z korupcją. To klasyczny mechanizm pogoni za tzw. rentą polityczną: dzięki korupcji

podmiot gospodarczy za ułamek zysków osiągniętych dzięki specjalnemu traktowaniu uzyskuje nienależne korzyści, przy okazji degradując standardy relacji między polityką a gospodarką. Wyśmienita jest rentowność „inwestowania w politykę” – nie da jej żaden biznes (może poza narkotykowym i handlem bronią). Trzeba więc spojrzeć na infoferę w heurystyce globalnej i postkolonialnej. Wątpię, czy opinia publiczna dowie się, jaką rolę w polskiej polityce gospodarczej (i czy tylko w niej) odgrywają dyplomaci z krajów firm, które brały udział w infoferze? Czy wywierając wpływ na polską politykę, zarazem skutecznie nie troszczą się o to, aby obraz tych prawdziwie postkolonialnych relacji nie został dobrze zamazany?

Przykład wielkich korporacji jest znamienny, bo one przez lata uznawane były za czynnik jednoznacznie rozwojowy, niosący wielkie inwestycje, nowe miejsca pracy, zaawansowane technologie itd. Po infoferze chociażby można by sądzić, że te korporacje są raczej skłonne dostosowywać się do warunków gangsterskiego kapitalizmu, wzmacniając go swoim potencjałem...

Dostosowują się czy kreują? Jak myśliwy z grubą strzelbą wchodzi do ekosystemu, to nie tyle się dostosowuje do warunków otoczenia, co sam stara się narzucić swoje reguły gry. Proszę przypomnieć sobie, co powiedział Józef Oleksy na nagraniu z taśm Aleksandra Gudzwatego: „Gangi kosmopolityczne

rozkradły Polskę”. Kompletne zignorowanie tej wypowiedzi, było nie było, system podatkowy „pełnowymiarowego” państwa prawa traktowałby

Wyśmienita jest rentowność „inwestowania w politykę”. Nie da jej żaden biznes, może poza narkotykowym i handlem bronią.

wcześniej szefa partii, marszałka Sejmu, premiera, ministra spraw wewnętrznych, odstąpiło jedną ze strukturalnych cech elit III RP – przyzwolenie na rozkradanie Polski. Rozsądne wydaje się, że przyzwolenie to ma swoje źródła w poczuciu współuczestnictwa².

Czy twierdzi Pan zatem, że to wielki zagraniczny kapitał zainicjował nieuczciwą deformację polskiego kapitalizmu?

To tylko fragment szerszej układanki systemowej. Najogólniej rzecz biorąc, jakie strukturalne warunki leżą w interesie wielkiego kapitału wchodzącego na nowe, tzw. wschodzące, rynki? W Polsce rzecz wyglądała podobnie jak w innych krajach postkolonialnych: chodzi o to, aby władza państwowa zapewniała pewną minimalną stabilizację, bez której biznes nie może się rozwijać; czyli potrzebny jest pewien poziom praworządności – ale, jednocześnie, chodzi o to, by działało tylko połowiczne państwo prawa. Dlaczego? Bo np.

wielką firmę tak samo jak małego przedsiębiorcę – jednolicie uczciwie. Mówiąc inaczej, chodzi o to, aby istniała minimalna stabilizacja, niezbędna do tworzenia biznesplanów, ale zarazem, aby było to „miękkie państwo” – w sensie szwedzkiego noblisty Gunnara Myrdala. Państwo, którego reguły można dość swobodnie modyfikować działaniami zakulisowymi i rozmiękczać – np. poprzez system cen transferowych nie płacić należnych podatków. Zatem z jednej strony wielki kapitał cywilizował reguły gry w politykę i gospodarkę, ale z drugiej nie miał i nie ma interesu, by zaistniało w Polsce pełnowymiarowe demokratyczne państwo prawa.

Gdy administrowało państwem PiS, skupiło się – do czego Pan się bardzo przyczynił – na walce z „układem”. Czy z perspektywy czasu nie sądzi Pan, że diagnoza leżąca u podstaw tej polityki (a ściślej rzecz ujmując: głównie politycznej retoryki) była zbyt wąska? Pomijała systemowy wymiar postkomunizmu, opisany przez Jadwigę Staniszkis, i stojącą za problemami rozwojowymi o wiele szerszą i bardziej policentryczną strukturę interesów. Definiując przeciwnika

² A. Zybortowicz, *Zła wiara, czyli My jako skandal*, „Tematy z Szewskiej”, nr 2(6), 2011, ss. 69–82

zbyt wąsko i zbyt konkretnie, opowieść o „układzie” wygenerowała chybną politykę.

Aż „bardzo” się przyczyniłem? To raczej artefakt medialny. Ale przeskożmy ten motyw. Można przyjąć heurystykę mówiącą, że każda diagnoza, która nie prowadzi do sukcesu, jest ułomna. Można rozważyć, czy przy innej, „nieukładowej” heurystyce, proces budowania IV RP nie byłby owocniejszy. Testem takiej diagnozy również może być tylko ocena działań opartych na danych założeniach. Patrząc jednak na moje własne rozumienie patologicznych mechanizmów III RP, zgodzę się z Panem. Jestem gotów rozważać hipotezę, iż do porażki wyborczej Prawa i Sprawiedliwości w wyborach 2007 r. tyleż przyczyniły się skoordynowane działania owego „układu”, co niewłaściwe odczytanie przez PiS tego, jak głęboko w tkance społecznej wtopione są przyzwolenia na łamanie prawa i – zatem – jak rozległe, sięgające daleko poza świat dużych, agenturalnie zakotwiczonych graczy, były środowiska zaniepokojone kampanią antykorupcyjną. Dopiero w ostatnich latach próbuję nieco bardziej systematycznie uchwycić wchodzące tu w grę mechanizmy³.

Z drugiej strony, chociaż społeczeństwo demokratyczne i rynkowe

jest policentryczne, to zawsze wyłaniają się w nim większe, zorganizowane grupy interesu. By skorzystać z analogii: do opisu pewnych właściwości Internetu używane jest pojęcie sieci bezskalowych. Większość węzłów sieci, przez które przepływają informacje, różni się ilością względnie nieznacznie, lecz istnieją również takie, gdzie tych informacji przepływa znacznie większa ilość, ale także węzły, gdzie tych informacji przepływa kolosalnie więcej. I np. paraliżując te największe, można już wstrząsnąć całym, tak zdawałoby się policentrycznym, zatem i odpornym na zaburzenia, systemem.

W policentrycznej demokracji ma rzekomo nie być takich megacentrów wpływów, czyli aktorów o potencjale hegemonicznym. Odpowiedź na pytanie, czy w Polsce tacy zakulisowi aktorzy faktycznie nie występują, nie jest dla mnie jasna. Problem polega m.in. na tym, że w ostatnich latach pogłębił się uwiad dziennikarstwa śledczego. System odstawiania patologii jest tak słaby, że wielu zaniepokojonych obywateli, biznesmenów, pracowników administracji, ba, funkcjonariuszy policji, tajnych służb, uważa, iż drażliwymi informacjami nie ma z kim się podzielić. W tej instytucji są koledzy tamtych, tamta gazeta jest zależna od reklam z tych firm, ta od tamtych, ta jest czyjaś własnością... i w rezultacie wiele poważnych schorzeń staje się tajemnicą poliszynela, ale nie przecieka na zewnątrz klientelistycznych sieci. Badacze nie mają dostępu do wiarygodnych informacji, na bazie których można modelować pewne procesy.

3 Zob. A. Zybertowicz, *Garwolińska Polska – czego nie wiemy o regułach kulturowych III RP: ćwiczenie z zakresu instytucjonalnej socjologii interpretatywnej*, „Forum Socjologiczne”, t. 1, ss. 93–115

Nie wiem np., na ile może być dziś trafna teza Antoniego Macierewicza sprzed kilku lat, wedle której nasi członkowie oligarchowie są w istocie jedynie depozytariuszami majątków uzyskanych w toku transformacji dzięki operowaniu na styku „publiczne-prywatne”, a faktyczni właściciele są gdzieś w cieniu.

Polscy oligarchowie jako Chodorkowscy przed aresztowaniem?

W jakimś sensie. I na ile ktoś ich kontroluje, a na ile się usamodzielnili i z tzw. słupów stali się nie tylko partnerami, ale nawet rozdającymi karty w poważnej grze. Pamiętajmy

wszakże, iż nie jest tak, że Putin może sobie dowolną ilość Chodorkowskich wsadzić do łagru. Robiąc tak z jednym, wysyła dyscyplinujący sygnał pozostałym. Ale gdyby postąpił tak z pięcioma oligarchami tego kalibru, to reszta z nich, zaniepokojona, zorganizowałaby się i obaliła dyktatora. Władza zawsze działa w polu pewnej równowagi społecznej; nawet autorytarna władza nie może sobie pozwolić na wszystko.

Nie znamy odpowiedzi na ważne pytanie: czy i jaki wpływ na polską oligarchię i część elit polityki mogą mieć np. nielegalnie zadaniowani z Moskwy, posiadający dostęp do danych o dawnej agenturze Służby Bezpieczeństwa i służb Ludowego Wojska Polskiego?



Czy w odpowiednich momentach są oni w stanie pewne, nie tylko poszczególne decyzje, ale nawet zjawiska, procesy blokować, a inne inspirować? Nie sposób odpowiedzieć na takie pytania

Ważny jest jednak negatywny wpływ środowiska służb na standardy funkcjonowania różnych sfer życia społecznego. Przykładowo: w pewnych sektorach służby zdrowia są

Z jednej strony wielki kapitał cywilizował reguły gry w politykę i gospodarkę, ale z drugiej nie miał i nie ma interesu, by zaistniało w Polsce pełnowymiarowe demokratyczne państwo prawa.

bez sprawnego kontrwywiadu, chcącego pracować dla Polski. Tymczasem ze służb raz po raz wychodzą sygnały, iż panuje polityka nic nierobienia; bo jeśli coś znajdują, to będą musieli to sprawdzić, pociągnąć i jeszcze komuś ważnemu nadepną na odcisk.

Jaka jest dziś polityczna rola służb, po rozwiązaniu Wojskowych Służb Informacyjnych i marginalizacji formacji postkomunistycznej?

Sądzę, że odgrywają one obecnie raczej rolę tzw. veto playera (gracza zdolnego do blokowania istotnych zmian status quo) aniżeli podmiotu samodzielnie kreującego złożone sytuacje społeczne. Niezależnie od faktycznych wpływów samego środowiska byłych Wojskowych Służb Informacyjnych politycy Platformy obawiali się jednak objąć ustawą zmniejszającą emerytury funkcjonariuszom służb PRL-u także służby wojska. I mam wrażenie, że w tym przypadku PO bardziej dmuchała na zimne, niż było to potrzebne.

Środowiska służb działające tak, aby tylko pewne firmy dostawały zlecenia na usługi informatyczne. Takich nieformalnych grup interesów, zapewniających sobie nienależne korzyści, uzyskiwane przez omijanie lub naginanie procedur, jest wiele. Ale na wielu polach dzieje się tak również bez istotnego „wkładu” środowiska tajnych służb. Najważniejsze jest jednak to, iż w sumie takie grupy wywierają negatywny wpływ makroekonomiczny, obniżając dynamikę naszej gospodarki i ograniczając pole manewru dla reformatorów.

By użyć prostego przykładu: znajoma opowiada: jej siostra pojechała do Irlandii na krótko, ale została tam pięć lat. Najpierw założyła jedno solarium, a teraz ma już cztery. Aby ktoś z zewnątrz, czyli bez układów, mógł odnieść taki sukces, rynek musi być przejrzysty, z dobrym oprządkowaniem prawnym, bez grup mafijnych, którym trzeba płacić haracz za przyzwolenie za sam udział w grze. W krajach takich jak Rosja lub Ukraina rynki są dławione

przez grupy biznesowe często powiązane ze służbami. Tam ważniejszego przetargu nie wygra nikt spoza układu. U nas jest to mniej nasilone, ale liczne strefy rynku są nieformalnie reglamentowane przez rozmaite nieformalne powiązania środowiskowe. Kilka lat temu znajomy chciał wejść na rynek sprzętu antypodstuchowego – po zorientowaniu się, że sprzęt na Zachodzie jest o wiele tańszy, co rokowało zyski. Ale pewni ludzie związani ze środowiskiem służb nie pozwolili mu samodzielnie na ten rynek wejść, sugerując, że mu się to „nie opłaci”. Mówiąc ironicznie: wcześniej musiałyby zbudować własną firmę ochroniarską, aby na tym rynku przeżyć.

Jakie inne grupy interesów odgrywają w Polsce rolę veto players?

Myślę, że na pewnych polach taką rolę pełni środowisko „Gazety Wyborczej”. W mojej ocenie ono tak oddziałuje na uniwersum symboliczne, by w naszej tkance kulturowej patriotyzm nie stał się aktywnym zasobem, na którego bazie można np. budować rodzime grupy kapitałowe. O ile małe projekty biznesowe mogą powstać na bazie czystej kalkulacji ekonomicznej, to w przypadku dużych projektów, wymagających współpracy i zaufania, gdzie zyski mogą się pojawić dopiero po latach, a ryzyko jest spore, potrzebne jest pewne spoiwo kulturowe, dzięki któremu można obniżyć poziom nieufności. Jeśli środowisko „GW” przez krytykę patriotyzmu, piętnowanie pewnych inicjatyw służących

rekonstytucji narodu, utrudnia wykonywanie polskiej tradycji patriotycznej jako zasobu, wokół którego mogą się tworzyć rodzime grupy kapitałowe, to odgrywa rolę kulturowego veto playera. W jakimś zakresie taką rolę pełni też w odniesieniu do naszych nauk społecznych, które nie podejmują wielu tematów ważnych dla rozumienia faktycznych wyzwań rozwojowych, przed którymi stoi Polska.

Pamiętajmy, że nie jest to środowisko jedynie medialne i kulturowe, ale także gracz rynkowy i polityczny aktywnie starający się współtworzyć kształt społecznej tkanki przyzwoleń.

Czy nie przecenia Pan znaczenia „GW”? Od lat 90. ono znacznie zmalało – z jednej strony „salon” się zdecentralizował, z drugiej, na najsilniejszy ośrodek w jego obrębie wyrósł ITI, z trzeciej, wzmościł się „antysalon”.

Można być na tyle słabym, iż nie jest się w stanie świata aktywnie przekształcać, kreować, ale nadal posiadać spory potencjał blokowania wielu inicjatyw społecznych. Można być veto playerem na jednych polach i być pozbawionym instrumentów oddziaływania na inne pola. Tak zwany antysalon czy drugi obieg to właśnie próba ominięcia pola negatywnych oddziaływań środowiska „GW”.

A inni veto players?

Spośród zewnętrznych graczy instrumenty do odgrywania roli veto

playerów posiadają Berlin, Moskwa i Waszyngton. W dzisiejszym świecie biznes plan i finansowanie, dzięki któremu za pięć lat zdobędzie 30% rynku,

Platforma stabilność swojego ograniczonego rządu m.in. zawdzięcza temu, że sporą, może kluczową, część swych zasobów zogniskowała na odgrywaniu roli klienta innych niż wspólnota polityczna podmiotów – wewnętrznych i zewnętrznych.

w odniesieniu do wielu krajów taką rolę pełnią też tzw. rynki finansowe – wyznaczają one pewne warunki brzegowe dla uprawiania polityki przez rządzących. Być może niektóre, poszczególne wielkie korporacje międzynarodowe. Każdy z graczy ma pewne pola, na których się koncentruje, a inne pomija. Między nimi występują napięcia i szczeliny, z których korzystać powinniśmy, aby wyrastać pod bokiem. Istnieje teza – nie wiem, na ile potwierdzona – iż rewolucje częściej wybuchają na peryferiach, bo tajne służby monitorują zagrożenia władzy przede wszystkim w centrum, a inicjatywom lokalnym łatwiej umknąć ich uwadze.

Wynikałoby z tego, że aby nie drażnić veto playerów, należy dokonywać zmian powoli albo udawać, iż się zgadzamy, a „robić swoje” po cichu.

Także. Nie każdy długofalowy projekt musi od początku mieć odstonięte intencje. Jak w biznesie – gdy ktoś wchodzi na rynek, jest małym nieznanym graczem, nie informuje, że ma

bo niebawem konkurencja spróbowaby go zdławić lub przejąć.

Wróćmy na koniec do metafory III RP jako organizmu zaatakowanego przez pasożyty. Taki osobnik może żyć stosunkowo długo, choć jego stan ustawicznie się pogarsza, grozi mu też przyplątywanie się innych chorób. Jak zmieniać Polskę, wykorzystując momenty niestabilności systemu, a nie – czekając, jak obecnie polityczni kontestatorzy III RP – na wielkie polityczne tąpnięcie, czyli na mannę z nieba?

Odpowiedź jest prosta. Trzeba mobilizować poparcie dla tych podmiotów, które mają potencjał reformatorski. Trzeba rozprzestrzeniać wśród ludzi zdolnych do myślenia strategicznego patrzenie w kategoriach szczylinowych. Postrzeganie systemów społecznych w kategoriach czysto deterministycznych jest błędne, bowiem gdy różne takie systemy się „zazębiają”, wyzwala się nowe przestrzenie kreatywności instytucjonalnej. Klasyczny przykład to nasze odzyskanie niepodległości po I wojnie światowej.

Czyli odrzucamy myślenie bezalternatywne i tworzymy ścieżki pracy, którą trzeba nazwać turboorganiczną, nad tworzeniem podmiotów, jakie, gdy wspomniane szczeliny powstaną, będą zdolne w nie wchodzić. To m.in. projekt konsolidacji archipelagu polskości. Ten archipelag inicjatyw i instytucji patriotycznych wyłonił się sam i jest pewnym żywym pulsowaniem. Ogniska polskości, mówiąc językiem Wojciecha Wencła, rozpalają się z potrzeby odzyskania godności.

A jaka droga jest lepsza: dążenie do wielkiego przesilenia w wielu sferach jednocześnie czy żmudne wyszarpywanie pojedynczych spraw? Rewolucja czy ewolucja?

Po pierwsze, nie widzę rozłaczności. Wyobraźmy sobie, że jakiś wstrząs oddaje władzę PiS-owi, dodatkowo zmieniając nastroje społeczne tak, że rządy reformatorskie nie są już wiostowaniem pod prąd. Czy to unieważni stare nawyki, jawne i niejawne powiązania i grupy interesów? Nie, reformowanie zawsze staje naprzeciw jakimś splotom nawyków i interesów. I jeśli do tego wstrząsu dojdzie, zanim ów archipelag polskości się skonsoliduje, zanim praca organiczna wytworzy podglebie, to po serii wstrząsów system wróci do

wcześniejszego stanu. Trzeba tworzyć wielowymiarową przeciwwagę dla grup interesów i powiązań, które blokują rozwój Polski.

To prawdopodobnie zadanie na wiele pokoleń...

W normalnych warunkach tak, ale pracę organiczną można przyspieszyć, jeśli skłonności konsolidacyjne zostaną inteligentnie profesjonalizowane – to właśnie nazywam pracą turboorganiczną. Na przykład wykorzystując potencjał sieci społecznościowych. Badania psychologii poznawczej i społecznej umożliwiły nam dość dobre rozkodowanie natury takich zjawisk, jak przywództwo, samoorganizacja, ruchy społeczne. Ta wiedza leży niejako na ulicy. Jeśli z tej wiedzy nie skorzystamy, to naród będzie próbował się reorganizować przez wiele dekad. Ale jeśli elita patriotyczna skorzysta z tej wiedzy i przyswoi ją w przyspieszonym trybie, to rekonstytucja narodu może nastąpić szybciej niż w czasie jednego pokolenia.

Bartłomiej Radziejewski (ur. 1984), redaktor naczelny „Rzeczy Wspólnych”. Politológ, eseista, publicysta. Mieszkający w Warszawie lublinianin.

Praca TURBOORGANICZNA
jest możliwa tylko z Twoim udziałem.

Dowiedz się, jak **możesz wesprzeć** działalność
Fundacji Republikańskiej. Strony 6-7

O budowaniu republiki uwag kilka – Janowi Rokicie do sztambucha

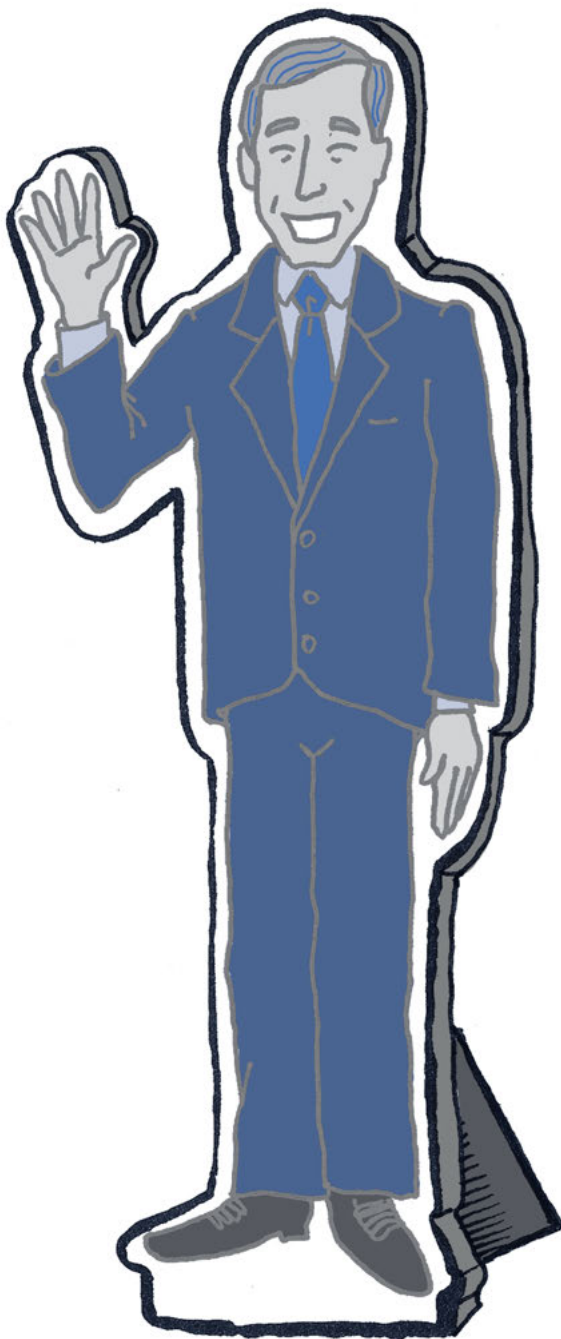
PRZEMYSŁAW WIPLER

Zamiast enumeratywnie wymieniać kolejne struktury i grupy rządzące Polską, roztropniej będzie wskazać mechanizmy, dzięki którym one to robią. Podstawą realnej władzy nad konkretnymi obszarami życia są: monopol na powszechnie odbierane podatnikowi pieniądze i jednostkowo przyznawane przywileje, zwłaszcza zwalniające z wypełniania powszechnych z założeń obowiązków.

Przed laty, przymierzając się do fote-
lu premiera w oczekiwany przez wielu
gabiniecie PiS-PO, Jan Rokita prze-
konująco opowiadał o tym, jak bardzo
Polacy potrzebują być dobrze rządzeni.
Odmieniając przez wszystkie przypadki
niezwykle celne – i do dziś oczekujące
na realizację – hasło o „uwolnieniu
energii Polaków”, słusznie wykazywał,
że aby wyrwać obywateli z pęt biurokra-
cji, nadregulacji i fiskalizacji, potrzebu-
jemy takich rządzących, którzy gotowi
będą realnie, podmiotowo sprawować
władzę. Uprawiać politykę rozumianą –
zgodnie z jej klasyczną definicją – jako
roztrofną troskę o dobro wspólne.

W świetle tych diagnoz Rokity sprzed
kilku lat lektura otwierającego ten nu-
mer „Rzeczy Wspólnych” eseju „O pa-
radoksie władzy w czasach pryncypatu”
jego autorstwa pozostawia pewien nie-
dosyt. Z jednej strony, erudycyjny tekst
niedosłusznego „premiera z Krakowa” jest
ciekawą analizą technologii quasi-wła-
dzy (*auctoritas*) Donalda Tuska. Dla od-
powiedzi na pytanie o to, kto naprawdę
rządzi dziś Polską, znacznie istotniejsze
są zarazem błyskotliwe obserwacje Ro-
kity dotyczące rozproszenia i odpoli-
tycznienia władzy realnej (*potestas*).

Z drugiej jednak strony, autor nie po-
stawił sobie pytań, które trzeba wciąż
zadawać, by móc w końcu do realne-
go przetomu doprowadzić: co musi się
stać, by nieprawi dzierżyciele tę wła-
dzą utracili? Jak w przyszłości nadać
jej prawdziwie republikański charakter?
Wydaje się, że pominięcie tych kwestii
spowodowało też zbyt daleko idące
i niesprawiedliwe uproszczenia doty-
czące Prawa i Sprawiedliwości.



Problem systemowy, nie personalny

Bardzo trafna jest przedstawiona przez Rokitę analiza koncentracji władzy zwierzchniej w rękach Tuska, poczynawszy od eliminacji wszelkich

i parlamentarnej. Jednak przede wszystkim poważne koszty takiego stanu rzeczy ponosi ogół obywateli.

W tym zamkniętym systemie stworzono dodatkowo opcję preferencyjną

Polski system partyjny stał się kartelem, a przy rosnących barierach wejścia na ten „rynek” nowych podmiotów system się „domknął”.

podmiotowych postaci z własnego otoczenia. Trudno się też nie zgodzić z diagnozą dotyczącą mechanizmów utrzymywania władzy za pomocą PR-owych sztuczek powiązanych z fikcją na punkcie personalnych rozgrywek, słusznie przez Rokitę krytykowanych.

Już jednak opisywana przez niego „depolityzacja sfery rządzenia kierującej się racjonalnością nie ściśle polityczną, ale ekonomiczno-rządową” nie jest wyłączenie ani nawet przede wszystkim „logicznym następstwem koncentracji w rękę sternika władzy”, jak to autor przedstawia. Jest skutkiem rozwiązań systemowych, wprowadzanych w Polsce przez dwie dekady (zresztą z udziałem i przy wsparciu Rokity). Centralizacja finansowanych z budżetu partii politycznych czy szerzej – sposób oficjalnego finansowania polityki, rosnąca rola w jej uprawianiu mediów elektronicznych, ordynacja wyborcza – to tylko niektóre z powodów silnej władzy Tuska nad PO. W efekcie tych mechanizmów i regulacji polski system partyjny stał się kartelem, a przy rosnących barierach wejścia na ten „rynek” nowych podmiotów system się „domknął”. I jak na każdym zamkniętym rynku, na braku konkurencji cierpi jakość – m.in. debaty wewnątrzpartyjnej

dla większości parlamentarnej i mechanizmy dyskryminacji opozycji. Regulamin Sejmu pozwala „mrozić” projekty uchwał i ustaw opozycji, a także obywatelskie projekty ustawodawcze. Premier i ministrowie nie mają obowiązku odpowiadania na pytania posłów i faktycznie prawie nigdy tego nie robią, a gdy już się zdecydują, mogą wystąpić w każdym momencie, praktycznie bez limitu czasowego. Tymczasem poseł opozycji może do tych mów i oświadczeń ustosunkować się jedynie, jeśli został zaatakowany z imienia i nazwiska, i ma na to całą... minutę. Jakość odpowiedzi na interpelacje poselskie jest żenująca.

Pojedynczy posłowie są zależni od liderów partyjnych nie tylko w okresach „wyborczych”, gdy decyduje się o miejscach na listach i – co nie mniej ważne – od funduszy, które dany kandydat może wydać na kampanię. Parlamentarzysta posiadający budżet na biuro w wysokości dwunastu tysięcy zł miesięcznie nie jest w stanie prowadzić w oparciu o takie zasoby podmiotowej polityki: przygotowywać kampanii społecznych, zamawiać profesjonalnych analiz prawnych (dotyczących chociażby spraw, którymi zajmuje się w swoich komisjach

sejmowych), budować zaplecza merytorycznego. Jeśli chce mieć możliwość jakiegokolwiek istotnego działania, musi uzyskać dla niego wsparcie władz swojego klubu parlamentarnego lub partii, które – przynajmniej teoretycznie – dysponują niezbędnymi do tego środkami.

Nie jest to jednak kwestią cech osobistych liderów polskich partii czy ich ambicji, ale wynika z rozwiązań instytucjonalnych wprowadzanych przez dwie dekady. Po prostu: ugrupowania polityczne stały się w istocie korporacjami i tak jak one muszą zmagać się z problemami zarządczymi, kłopotami z przepływem informacji, prezentować na zewnątrz spójny wizerunek i przekazać, mimo często ostrych różnic zdań wewnątrz organizacji. Rokita krytykuje to, że partie stały się „maszynkami do głosowania” swoich liderów, będąc jednocześnie jednym z najwybitniejszych polityków III RP, a więc osobą, która miała poważny wkład w kształtowanie takiego otoczenia instytucjonalnego dla prowadzenia polityki w Polsce. Podnoszony przez niego upadek znaczenia parlamentu to zatem nie paradoks, ale konsekwencja powyższego.

Rozproszenie władzy i jej odpolitycznienie, przejawiające się tym, że w coraz większej liczbie spraw decydują urzędnicy, a nie politycy, również wynika z uwarunkowań instytucjonalnych wytworzonych przez polityków, często przy entuzjazmie lub w najlepszym razie przeważającej bierności opinii publicznej. „Najlepsi” z polskich „sług publicznych” również są korporacją: działają w ramach specyficznych regulacji dotyczących funkcjonowania

służby cywilnej, korpusu dyplomatycznego etc. Politycy mają duże problemy z doborem na stanowiska urzędnicze współpracowników spełniających jednocześnie odpowiednie wymogi faktyczne i godnych zaufania, a także... posiadających odpowiednie uprawnienia „formalne”. Co ciekawe, ranga i rola szefów różnych „agencji” czy dyrektorów departamentów ma odzwierciedlenie również w ich wynagrodzeniach, często kilkukrotnie wyższych niż uposażenia ich „politycznych” zwierzchników, czyli wiceministrów i ministrów.

Organizacyjny i instytucjonalny niedorozwój centrum władzy, o którym pisze Rokita, ma wiele wymiarów. Nie wziął się jednak znikąd – odpowiadają zań politycy, którym zabrakło wiedzy, wizji, siły i poparcia społecznego, by odważnie wyprowadzić Polskę z komunizmu, a później – postkomunizmu.

Rządy grup interesów

Zabierając jako polityk głos wśród znakomitych publicystów, analityków i ekspertów poszukujących w niniejszym tomie rzeczywistych podmiotów władzy, postaram się krótko odpowiedzieć na pytanie o to, kto rządzi Polską, w sposób pozwalający – czego w eseju Rokity nie znajdziemy – także na wypracowanie skutecznego remedium.

Odpowiedź najprostsza, wręcz banalna, jest taka, że Rzeczpospolitą rządzą ci, którzy z takiego a nie innego kształtu jej praw i instytucji czerpią dziś korzyści. Problemy pojawiają się jednak, kiedy zaczynamy ustalać katalog beneficjentów obecnego systemu. Zgadzam się bowiem z diagnozą Rokity o braku dobrze

zorganizowanego zarządczego centrum i wynikającą z tego daleko idącą dekoncentracją, depolityzacją *potestas*. Mamy więc do czynienia z władzą w znacznym stopniu niewidoczną, coraz bardziej rozproszoną, ale przez coraz dalej idącą reglamentację wszelkich dziedzin życia społecznego wszechobecną. Nawiązując do Michela Foucaulta, można powiedzieć, że władza w Polsce przyjmuje postać władzy kapilarnej, której centrum czy źródło trudno wskazać.

Olbrzymia nadprodukcja przepisów stanowi podstawę władzy nieustannie rozrastającego się aparatu biurowego, specjalizującego się niczym egipscy kapłani w jego twórczym stosowaniu i interpretowaniu. Na poziomie relacji między obywatelem a urzędnikiem ten nadmiar przepisów regulujących wszelkie obszary życia społecznego przekłada się na sytuację, w których urzędnicy mogą te stosunki kształtować praktycznie dowolnie. A wszystko to dzieje się w otoczeniu niesprawnych sądów, zwłaszcza administracyjnych, dzięki czemu urzędnicy mogą w konkretnych przypadkach – i to zawsze na gruncie obowiązujących przepisów – podjąć decyzję dla obywatela pozytywną albo negatywną, mogą zdecydować w sposób czysto arbitralny albo w nieskończoność odkładać podjęcie jakiegokolwiek decyzji. W ten sposób w wyniku inflacji prawa obywatele w coraz większym stopniu pozostają na łasce urzędników.

Pełny katalog aktualnych władców Polski można sporządzić, przyglądając się wnikliwie transferom środków publicznych i uzyskanym przywilejom. Aby zrobić to rzetelnie i kompletnie,

potrzebujemy żmudnej pracy ośrodków badawczych, takich jak Fundacja Republikańska. Rokita wymienia tu „towarzystwo” ekspertów-lobbystów, którymi oplecione są poszczególne resorty. Innym tego typu „towarzystwem” są choćby samorządy zawodowe i komisje egzaminacyjne strzegące dostępu do rosnącej liczby zawodów reglamentowanych. Poza tym, posługując się może wyświechtanymi, ale bliskimi każdemu obywatelowi przykładami, możemy się zastanawiać, kto decyduje o wysokości naszej emerytury, obowiązkowych szczepieniach dla naszych dzieci albo jakości kształcenia na uniwersytetach. Ale przecież Otwarte Fundusze Emerytalne, koncerny farmaceutyczne czy postkomunistyczne kadry akademików więcej – mogłoby się wydawać – różni, niż łączy.

Zarazem jednak wszystkie te grupy interesów spaja ten sam mechanizm – decydujący o problemach III RP z rządnością – oparty na arbitralnie nadanym monopolu na wydawanie pieniędzy obywateli – bez względu na to, czy transferowane są za pośrednictwem podatków i innych danin, czy na zasadzie przymusu kierowane do wąskiej grupy beneficjentów. Analogicznie trudno z zaskoczeniem przyglądać się strukturze kapitału w Polsce i utyskiwać na jej nienarodowy charakter, mając świadomość, iż konstrukcja systemu podatkowego pozwala największym z podmiotów życia gospodarczego pozostawać poza istotnymi, a często wręcz jakimikolwiek zobowiązaniami wobec państwa.

Zamiast więc enumeratywnie wymieniać kolejne struktury i grupy

rządzając Polską, roztropniej będzie jednak nazwać mechanizmy, dzięki którym one to robią. Podstawą realnej władzy nad konkretnymi obszarami życia w Polsce są monopole na powszechnie odbierane podatkowi pieniądze i jednostkowo przyznawane przywileje, zwłaszcza zwalniające z wypełniania powszechnych z założeń obowiązków.

Szukając remedium

Aby ten stan rzeczy zmienić, nie wystarczy postulowane dawniej przez Rokitę „szarpnięcie cugłami”. Owszem, rozpoznanie kryzysu polityki i państwa oraz wytworzenie odpowiadającej nań doktryny państwowej – to niezbędny pierwszy krok. Jednak każda poważniejsza zmiana instytucjonalna wywoływać będzie radykalny opór silnie zakorzenionych w systemie (w tym w mediach) grup interesów, które skolonizowały polskie państwo i którym zależy na utrzymaniu status quo. Dlatego budowa rządowego państwa nie może się obyć bez świadomej potrzeby jego istnienia opinii publicznej. Bez wystarczająco gęstej tkanki obywatelskich instytucji: stowarzyszeń, fundacji, think-tanków, watchdogów, periodyków, portali i – last but not least – telewizji, rozumiejących główne wyzwania stojące przed Polską i wymuszających na politykach ich realizację. Bez obudzenia Polaków z konsumpcyjnego letargu i ukierunkowania ich energii na budowanie państwa nie przetamiemy obecnego – ale przecież bardzo dla III RP charakterystycznego – impasu i fatalności czasów opisywanego przez



Rokitę „pryncypatu”, rządów zarazem przerażająco nieudolnych i coraz przykrzejszych w swojej arbitralności.

W tym kontekście istotne jest też właściwe rozumienie niedawnej historii. W tym aspekcie Rokita przeciwstawia

wypchnęta ona setki tysięcy przedsiębiorczych Polaków na emigrację.

PiS i PO – zasadnicza różnica

Nie można zapominać, że również z powyższych powodów pojawił się

Regulamin Sejmu pozwala „mrozić” projekty uchwał i ustaw opozycji, a także obywatelskie projekty ustawodawcze.

obserwacje dotyczące odpolitycznienia władzy pewnej idealizacji polskiej sceny politycznej z okresu przed 2007 r. Tej ostatniej przypisać wręcz cechy republikańskiego modelu stosunków politycznych. Gdybyśmy jednak nawet z najsłabszymi intencjami poszukiwali w tamtej scenie politycznej elementów republikanizmu, to w najlepszym razie byłby to republikanizm bardzo powierzchowny, czysto formalny.

Cóż bowiem z tego, że na scenie politycznej było wiele barwnych postaci „wiodących spory prawdziwie wielkie na przemian z groteskowymi”, jeżeli ich debaty nie miały przełożenia na kluczowe dla państwa polskiego reformy? Lista zaniechań jest długa. Wystarczy wspomnieć, że w okresie dwudziestu lat po przełomie roku 1989 nie rozliczono się z dziedzictwem komunizmu (brak lustracji czy repywatyzacji), wprowadzono chory, nieprawdopodobnie skomplikowany system podatkowy, narzucono obywatelom niesprawiedliwy, antynatalistyczny system emerytalny, przerzucający koszty na przyszłe pokolenia, rozbudowano aparat urzędniczy i wprowadzono tak daleko idącą reglamentację działalności gospodarczej, że

postulat radykalnej rekonstrukcji systemu politycznego, zawarty w haśle budowy IV Rzeczypospolitej. W związku z powyższym nieuprawnione jest porównanie PiS-u i Jarosława Kaczyńskiego do PO i jej aktualnego sternika.

Choć w zarzutach Rokity wobec Kaczyńskiego wiele jest złośliwości, muszę mu jednak przyznać rację w jednym: jego diagnoza stwierdzająca, że zarówno PO, jak i PiS są partiami nowego typu, jest prawdziwa. Obie te formacje odpowiedziały sobie w podobny sposób na pytanie o to, kto rzędzi Polską, i zrozumiały, że w przeregulowanej, rozbuchanej urzędniczo i pobierającej ogromne podatki III RP rządzą ci, którzy potrafią korzystać z jej patologii. Tym te dwie partie się jednak różnią, że macierzysta formacja Rokity zaakceptowała ten stan rzeczy, wplątując w struktury beneficjentów swoich ludzi, współuczestnicząc w pasożytniczym procederze. Natomiast PiS do zmiany tego systemu konsekwentnie dąży.

Rokita pisze, że zarówno Tusk, jak i Kaczyński są pasjonatami gry personalnej, a nie trudnej sztuki rządzenia państwem. Również to stwierdzenie jest dla lidera PiS-u niesprawiedliwe.

Aby takie porównanie obu liderów rzetelnie przeprowadzić, trzeba by bowiem zestawić okres rządów trudnej koalicji PiS-u z Samoobroną i Ligą Polskich Rodzin, na której czele stał Kaczyński, i rządów koalicji PO-PSL pod przywództwem Tuska. Praktyka dwóch lat trudnych, koalicyjnych rządów pokazała, że nawet w niesprzyjających okolicznościach zrobić można bardzo wiele: obniżyć podatki, zadbać przynajmniej w minimalny sposób o interes rodzin, zlikwidować najbardziej patologiczną instytucję współuczestniczącą we wszystkich opisanych wymiarach pasożytnictwa (WSI) i stworzyć nowe instytucje stojące na straży porządku życia publicznego (CBA).

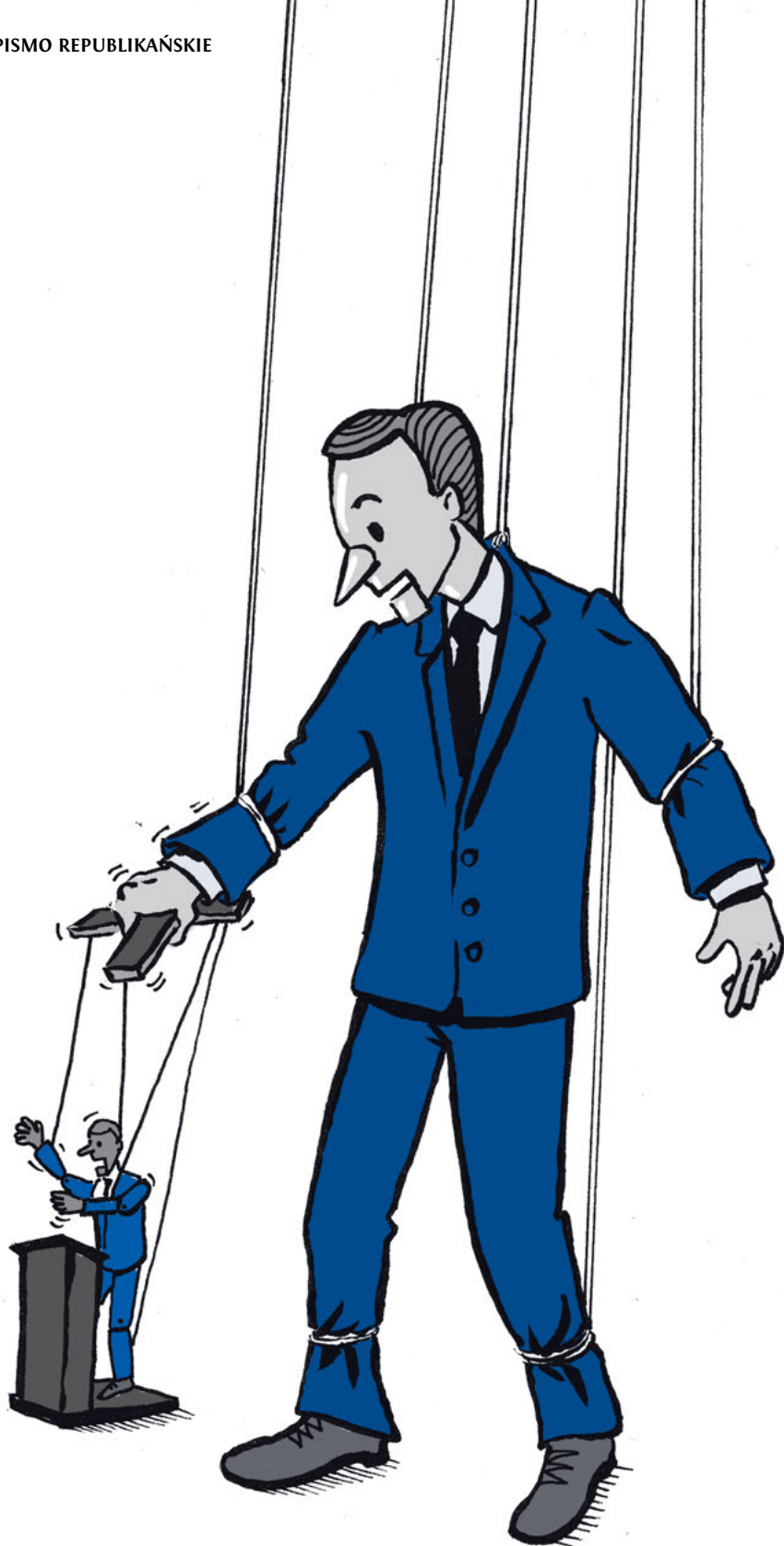
Rokita twierdzi, że wyeliminowana została z polskiej polityki deliberacja o realiach. Wydaje się, że myli tu jednak poziom dyskursu medialnego, który rzeczywiście sprowadza politykę do „nieznośnej ewokacji stanów emocjonalnych”, z wciąż przecież funkcjonującą realną sceną polityczną, gdzie nadal pojawiają się konkretne propozycje daleko idących reform. Przyjrzyjmy się choćby kilku propozycjom PiS-u zgłoszonym w bieżącej kadencji Sejmu. Uznając wagę zagrożenia demograficznego, zaproponowaliśmy pakiet reform w zakresie polityki prorodzinnej „Teraz Rodzina”. Dostrzegając głębokie wady obecnego systemu podatkowego zaproponowaliśmy powołanie instytucji Rzecznika Praw Podatnika i likwidację podatku PIT. Wreszcie w zakresie ubezpieczeń społecznych proponujemy danie Polakom wyboru między OFE a ZUS-em, który to wybór

prawdopodobnie spowodowałby odwołanie reformy emerytalnej AWS, dającej olbrzymie zyski instytucjom pasywnym na oszczędnościach Polaków.

Choć daleki jestem od idealizowania polskich partii politycznych (w tym własnej), jestem jednocześnie przekonany, że w dzisiejszym parlamencie to właśnie klub PiS-u jest w największym stopniu złożony z ludzi, którzy rozumieją potrzebę ciężkiej merytorycznej pracy. Tylko taka postawa oznacza realne przygotowywanie do rządzenia. W tej kadencji klub zasilili rzesza świetnych specjalistów z różnych dziedzin: prawników, ekonomistów, profesorów akademickich czy doświadczonych samorządowców. Dyskusje przeprowadzane w takim gronie wewnątrz klubu, mają ogromną wartość. Niestety umyka to mediom głównego nurtu, gdyż tematy, takie jak alternatywne propozycje rozwiązania kryzysu systemu emerytalnego czy radykalna reforma podatków w Polsce, okazują się dla dziennikarzy tego nurtu niemedialne.

Mediant mediantowi nierówny

Na koniec chcę wspomnieć o groteskowej wręcz przesadzie, w którą popada Rokita, pisząc o analogicznym jakoby do Tuskowego „salonie wybitnych mediantów”, jakim rzekomo dysponuje Jarosław Kaczyński. Autor porównuje osoby Wajdy-Michnika-Wojewódzkiego do trójki Rymkiewicz-Rydzik-Pospieszalski. Zastanówmy się przez chwilę nad tym porównaniem. Oto reżysera-pupilka słusznie minionego systemu, który jak



śpiewał Jacek Kaczmarski, „chciałby spocząć na Père-Lachaise” i który niedawno był w awangardzie wściekłych krytyków zmarłego tragicznie prezydenta, autor zrównuje z wybitnym poetą Jarosławem Markiem Rymkiewiczem, wyśmiewanym przez media mainstreamowe z powodu wiersza, którym tegoż zmarłego prezydenta uczcił. Z kolei zastężonego dysydenta, który stanął na czele pierwszego niekomunistycznego dziennika, a następnie przez kolejnych dwadzieścia lat całkowicie roztrwonił swoje dziedzictwo, „wybaczając w imieniu tych, których zdradzono o świecie”, zestawia Rokita z kontrowersyjnym może, ale zastężonym kaznodzieją dostarczającym pociechy milionom radiostuchaczy i kształcącym młodzież w duchu Pisma Świętego. Wreszcie, medianta-pajaca lubującego się w chamskich i rasistowskich żartach postawił byty polityk z Krakowa w jednym szeregu z zaangażowanym muzykiem i publicystą konsekwentnie promującym ideę, iż „warto rozmawiać”. Takie to porównanie.

Abstrahując od wymienionych postaci, warto może zauważyć, że porównanie to jest oderwane od zasadniczych realiów polskiej debaty publicznej. Nie wytrzymuje bowiem elementarnej analizy zestawienie medianów Tuska, reprezentujących dominujący i dysponujący miliardowymi budżetami establishment medialny, słusznie nazwany przez Piotra Zarembę „przemysłem pogardy”, z rzekomymi medianami Kaczyńskiego, symbolizującymi nieporównanie słabszy, tak naprawdę

dopiero rodzący się „drugi obieg” polskiej debaty publicznej. Poczekajmy, aż „drugi obieg” stanie się pierwszym (oby jak najszybciej!), i wtedy zobaczymy, czy będzie równie niebezpiecznie pobudzał „złe ludowe emocje”. Jak na razie mówić możemy raczej o próbach obrony przed wielokrotnie liczniejszym – i lepiej uzbrojonym – przeciwnikiem.

Zadanie na wiele lat

Budowa podmiotowego państwa nieprzypadkowo nie udała się po 1989 r. nikomu. Stabość opinii publicznej, siła pasożytniczych grup interesów, ogrom wyzwań wewnętrznych i zewnętrznych – to główne czynniki trwałości postkomunistycznego status quo. Stąd jego zmiana nie ma szansy dokonać się przy okazji jednego czy nawet serii politycznych wstrząsów, choć należyte się do ich wykorzystania przygotowanie trudno przecenić. Musimy się nastawić na wytrwałą, obliczoną na lata pracę u podstaw. Tylko świadomy naród polityczny podjął bowiem zadaniu budowy prawdziwej republiki.

Przemysław Wipler (ur. 1978), poseł na Sejm, polityk Prawa i Sprawiedliwości. Fundator i w latach 2009–2011 prezes Fundacji Republikańskiej. Pracował na kierowniczych stanowiskach w administracji państwowej (zbudował od podstaw i kierował Departamentem ds. Dywersyfikacji w Ministerstwie Gospodarki), w międzynarodowych firmach doradczych (Deloitte, Ernst & Young) i organizacjach pozarządowych (Centrum im. Adama Smitha). Mąż i ojciec czwórki dzieci.

Triumf polityki siły i problemy z demokracją w Europie

TOMASZ GRZEGORZ GROSSE

Pod wpływem kryzysu następuje powrót do założeń konfederacji międzyrządowej. Zmierza ona coraz bardziej w kierunku modelu *power politics*, który można również porównać z XIX-wiecznym „koncertem mocarstw” w Europie. Opiera się on na silnej hierarchii władzy między państwami członkowskimi. W takim modelu więcej suwerenności zachowują państwa najbardziej w UE wpływowe. To one również odbudowują znaczenie demokracji w swoich krajach. W państwach peryferyjnych natomiast zarówno znaczenie suwerenności, jak i demokracji – ulegają marginalizacji.



Okres przedłużającego się kryzysu gospodarczego w Europie (który rozpoczął się w roku 2008) przyczynia się do transformacji politycznej w Unii Europejskiej. Na naszych oczach dokonuje się dość istotne przejście od wspólnotowego modelu integracyjnego do modelu opierającego się na polityce siły (*power politics*) dominujących państw członkowskich nad tymi słabszymi. W ramach wspólnotowej wizji integracyjnej dążono do zachowania równowagi między różnymi instytucjami UE. Dotyczyło to przede wszystkim zbalansowania wpływów między ciałami międzyrządowymi, reprezentującymi interesy państw członkowskich, a pozostałymi instytucjami politycznymi i technokratycznymi (m.in. Parlamentem Europejskim i Komisją Europejską). Kryzys osłabił znaczenie KE i innych w UE organów technokratycznych. Wzmocnił natomiast rolę instytucji międzyrządowych¹.

Model wspólnotowy i jego kryzys

W modelu wspólnotowym starano się także równoważyć wpływy największych państw członkowskich. Wprawdzie były one znacznie bardziej wpływowe niż te mniejsze, ale ich znaczenie polityczne było ograniczane w wielostronnym systemie instytucji wspólnotowych, a także poprzez dominującą normę solidarności. Jedną z głównych

zasad wspólnotowych było bowiem dążenie do solidarnego dystrybowania kosztów i korzyści wynikających z integracji europejskiej między państwami członkowskimi. Co prawda więcej otrzymywali ci najbardziej w instytucjach europejskich wpływowi, ale dbano o to, aby utrzymywać rozliczne preferencje dla tych najstarszych. Przykładem tej tendencji jest choćby polityka spójności i inne korzyści budżetowe dla najuboższych państw Wspólnoty. Właśnie dlatego mniejsi członkowie UE godzili się uczestniczyć w integracji europejskiej, pomimo że mieli mniejszy zakres władzy politycznej i oddawali znacznie więcej własnej suwerenności niż kraje największe. Czynili to w zamian za poprawę bezpieczeństwa (geopolitycznego i gospodarczego), jak również w zamian za niewielkie preferencje polityczne i korzyści materialne otrzymywane zgodnie z zasadą solidarności.

Model wspólnotowy przeżywa obecnie wyraźny kryzys lub nawet bezpowrotnie odchodzi w zapomnienie. W modelu polityki siły kształtuje się natomiast coraz bardziej widoczna hierarchia władzy między państwami centralnymi a peryferyjnymi. Kraje centralne w systemie politycznym są największe i najsilniejsze. Peryferyjne są nie tylko słabsze politycznie i gospodarczo, ale również najczęściej usytuowane na obrzeżach UE. Hierarchia władzy przenika coraz bardziej politykę prowadzoną w instytucjach wspólnotowych, nie tylko tych międzyrządowych, ale

1 Por. J. D. Medrano, *The Limits of European Integration*, „Journal of European Integration”, 2012, vol. 34, nr 2, s. 191–204

również pozostałych². Są one w coraz większym stopniu zarażone nowymi tendencjami politycznymi, a nie jak poprzednio instytucjami tonującymi

cywilizacji europejskiej. Tymczasem problemy demokracji stają się w coraz większym stopniu zasadniczą przyczyną tendencji dezintegracyjnych

Model wspólnotowy przeżywa obecnie wyraźny kryzys lub nawet bezpowrotnie odchodzi w zapomnienie. W modelu polityki siły kształtuje się natomiast coraz bardziej widoczna hierarchia władzy między państwami centralnymi a peryferyjnymi.

nadmierną hierarchię władzy między państwami członkowskimi. Najważniejszą konsekwencją przejścia do modelu *power politics* jest coraz większa nierównowaga w dystrybucji kosztów i korzyści płynących z integracji europejskiej. Oznacza to, że państwa najbardziej wpływowe politycznie przesuwają koszty na te najstabsze, co faktycznie niweczy dotychczasową zasadę solidarności. Jednocześnie państwa centralne starają się maksymalizować swoje korzyści gospodarcze m.in. poprzez wzmacnianie własnej pozycji w systemie politycznym.

Konflikt integracji z demokracją

W retoryce Wspólnoty wiele miejsca poświęca się demokracji i znaczeniu demokratycznych korzeni

w UE. To oddziaływanie demokracji w największych państwach członkowskich prowadzi do wzmocnienia modelu polityki siły w Europie. To demokratyczna presja ze strony wyborców hamuje możliwości skutecznego przeciwdziałania kryzysowi w strefie euro. Ich sprzeciw w najbogatszych państwach eurolandu nie pozwala bowiem na zwiększenie transferów fiskalnych do państw najstabszych. Uniemożliwia wprowadzenie federalizmu fiskalnego, który w ocenie wielu ekspertów jest podstawowym lekiem instytucjonalnym dla wspólnej waluty³. To w dużym stopniu demokracja narodowa ogranicza możliwości rozwoju integracji europejskiej w kierunku federacji politycznej. Niektórzy przedstawiciele elit wprawdzie dążą w kierunku federalnym, ale są skutecznie blokowani przez

² Por. L. Tsoukalis, *The Shattering of Illusions – And What Next?*, „Journal of Common Market Studies”, 2011, vol. 49, „Annual Review”, ss. 19–44

³ Szerzej: T. G. Grosse, *W objęciach europeizacji*, Warszawa 2012

większość elit narodowych i społeczeństw krajów członkowskich.

Wszystko to wynika z podstawowego faktu: demokracja wyborcza w Europie funkcjonuje jedynie na poziomie narodowym. Na poziomie

europejskich. Przykładowo nieudane referenda w Holandii i Francji w 2005 r. zniweczyły projekt europejskiej konstytucji.

W rezultacie procesy integracyjne na Starym Kontynencie nie tylko nie

Najważniejszą konsekwencją przejścia do modelu *power politics* jest coraz większa nierównowaga w dystrybucji kosztów i korzyści płynących z integracji europejskiej.

europejskim mamy jedynie demokrację pozorowaną lub „quasi-demokrację”. Występuje ona bardziej w sferze deklaracji i marketingu proeuropejskiego aniżeli w postaci konkretnych instytucji demokratycznych, opierających się na ogólnoeuropejskich wyborach bezpośrednich. Poziom unijny faktycznie czerpie swoją legitymizację demokratyczną z poziomu narodowego. Zamiast rozwoju instytucji demokratycznych w UE decyzje europejscy starają się wręcz omijać instytucje narodowe i werdykt wyborców w państwach członkowskich. Obawiają się bowiem, że demokracja narodowa może zaszkodzić postępom integracji europejskiej. Przykładem jest wystrzeganie się referendum jako sposobu autoryzacji decyzji politycznych dotyczących przyszłości UE. Nic dziwnego, projekt europejski był wielokrotnie w ostatnich latach zagrożony przez te nieliczne referenda, które odbywały się w sprawach

zbudowały solidnej demokracji politycznej na szczeblu unijnym, ale przyczyniają się też do osłabiania demokracji w państwach członkowskich. Wynika to zarówno z ograniczania wpływu wyborców na kluczowe decyzje polityczne w UE, jak również jest spowodowane przeniesieniem na poziom unijny wielu kompetencji z poziomu narodowego. Dodatkowo polityki i regulacje Wspólnoty nie tylko nie mają odpowiedniej legitymizacji politycznej, ale niejednokrotnie ograniczają możliwości suwerennych decyzji podejmowanych przez polityków narodowych. Wprawdzie mają oni odpowiedni mandat polityczny, ale nierzadko nie mają odpowiedniej władzy i kompetencji, aby realizować wolę wyborców. Dotyczy to przede wszystkim państw mniejszych lub mniej w strukturach UE znaczących politycznie. Polityka krajowa przestaje być w tych warunkach sztuką dokonywania wyborów strategicznych,

a coraz bardziej ma znaczenie iluzoryczne lub jedynie marketingowe i wizerunkowe. Staje się pustym ceremoniałem lub skupia na sprawach drobnych, doraźnych, konfliktach interpersonalnych itp. W ten sposób integracja europejska ogranicza możliwości wyborców w dokonywaniu decyzji w sprawach zasadniczych i osłabia demokrację.

Porozumienie ponad głowami obywateli

Rozwój integracji europejskiej opierał się nie tyle na solidnym fundamencie demokratycznym, ale na ponadnarodowym porozumieniu elit wokół modelu wspólnotowego. To porozumienie było w istocie zawierane ponad głowami obywateli i przy próbie ograniczania wpływu demokracji wyborczej na sprawy europejskie. Wyrazem tego porozumienia było ukształtowanie się głównego nurtu sił politycznych w Europie (zarówno na szczeblu narodowym, jak i europejskim, m.in. w Parlamencie Europejskim). Nurt ten tworzyli przedstawiciele zarówno ugrupowań prawicowych, centrowych, jak i lewicowych. Opiera się on na silnym sprzężeniu poglądów liberalnych z prointegracyjnymi. Liberalizm bazował na ideach ekonomicznych i na postulatcie budowy wspólnego w UE rynku. Z biegiem czasu w coraz większym stopniu obejmował również kwestie społeczne i światopoglądowe, w tym dystansował się od poglądów nacjonalistycznych i interesu narodowego. Stanowiło to kolejny

przejaw „pomijania” demokracji wyborczej w państwach członkowskich, które w naturalnym stopniu opierają się na identyfikacji interesu narodowego i jego wyrażaniu w relacjach zagranicznych. Podstawowym spoiwem dla głównego nurtu politycznego we wszystkich państwach UE były poglądy proeuropejskie i europejska poprawność polityczna, a mniej interesy narodowe i narodowa wizja rozwoju integracji europejskiej. Szczegółowe wizje integracyjne poszczególnych polityków lub elit narodowych mogły być wprawdzie odmienne. A jednak – przynajmniej oficjalnie – akceptowano wspólnotowy model integracyjny oraz zasadę solidarności. To ta zasada warunkowała zgodę ze strony elit najmniejszych i najstarszych państw członkowskich dla utraty dużej części suwerenności narodowej oraz akceptację funkcjonowania „quasi-demokracji” w warunkach integracji.

Spółeczeństwa natomiast karmione były ideami europejskimi i intensywną promocją integracji jako projektu jednoznacznie korzystnego zarówno na płaszczyźnie politycznej, jak również gospodarczej i społecznej. Zamiast procedur legitymizacji politycznej podstawą autoryzacji procesów integracyjnych były kwestie utylitarne – związane z wymiernymi korzyściami i poprawą jakości życia większości obywateli. Legitymizacja utylitarne bazowała więc na rozwoju gospodarczym i poprawie warunków życia.

Utrzymywanie „quasi-demokracji” na szczeblu unijnym było możliwe

w okresach *prosperity*. Większym państwom było w tych warunkach łatwiej dotrzymać zasady solidarności, a więc dzielić się korzyściami i kosztami z najstańszymi krajami peryferyjnymi. Można było również unikać wpływu polityki wyborczej, gdyż

z całą ostrością kryzys finansowy (z 2008 r.) i późniejszy kryzys strefy euro (który rozpoczął się w roku 2010).

W sytuacji przedłużającego się kryzysu gospodarczego, trwającego w niektórych państwach już nawet

Procesy integracyjne na Starym Kontynencie nie tylko nie zbudowały solidnej demokracji politycznej na szczeblu unijnym, ale przyczyniają się też do osłabiania demokracji w państwach członkowskich.

wyborcy nie buntowali się przeciwko nieskutecznym rządów. Prościej było również maskować dysfunkcje europejskiego systemu zarządzania, w ramach którego rządy są ograniczane przez polityki i prawo unijne, a system decyzyjny w UE jest nadmiernie rozproszony i sparaliżowany przez odmienne preferencje państw członkowskich. Technokracja europejska mogła cieszyć się większą dyskrecjonalnością w bieżących, a nawet strategicznych sprawach, co wzmacniało model wspólnotowy. Ograniczało także wpływy polityki wyborczej na bieg spraw europejskich. Stwarzało to iluzję poprawy zarządzania sprawami unijnymi. Tymczasem dla odpowiedniego ukierunkowania i sprawnego sterowania sprawami publicznymi na szczeblu unijnym niezbędna jest zarówno polityczność decyzji, jak również silna legitymizacja władzy. Stałość systemu decyzyjnego obnażył

pięć lat, coraz trudniej unikać werdyktu wyborczego i wpływu demokracji na procesy integracyjne. Przejawem tych tendencji jest podwójny sprzeciw wyborców – zarówno w państwach centralnych, jak i peryferyjnych. W bogatszych krajach obywatele buntują się przeciw nadmiernej dystrybucji funduszy z ich podatków na rzecz ratowania sytuacji w innych państwach unii walutowej. W ten sposób negują zasadę solidarności obowiązującą w ramach dotychczasowej formuły integracyjnej. Natomiast w krajach peryferyjnych wyborcy sprzeciwiają się kolejnym oszczędnościom narzucanym przez instytucje europejskie i przedstawicieli państw centralnych eurolandu. Domagają się także bardziej sprawiedliwej dystrybucji kosztów w obrębie UE. Proponowana bowiem przez polityków niemieckich tzw. wewnętrzna dewaluacja jako sposób odzyskania konkurencyjności gospodarczej

w najstarszych państwach eurolandu – jest niezwykle trudna politycznie⁴. Prowadzi do pauperyzacji społecznej i może przynieść gwałtowny wybuch niezadowolenia w stosunku do dotychczasowych elit. W obu grupach państw stabilnie poparcie dla idei integracyjnych oraz rosną wpływy poglądów eurosceptycznych⁵.

Paradoksy demokratycznego pobudzenia

W sytuacji kryzysu gospodarczego następują trzy równoległe procesy dotyczące demokracji w Europie. Po pierwsze następuje silne pobudzenie demokracji narodowej – co dokonuje się w dużej mierze w wyniku niezadowolenia z procesów integracji europejskiej. Siła demokracji narodowej wynika zarówno z legitymizacji politycznej, pochodzącej z wyborów bezpośrednich, jak również z kompetencji fiskalnych (podatkowych i budżetowych), które pozostały w dużej mierze w gestii krajowych wyborców i rządów narodowych. Ponieważ kryzys strefy euro wymusza coraz większe interwencje fiskalne, to wyborcy narodowi odzyskują prawo głosu w sprawach europejskich. Jednocześnie kluczowe decyzje podejmują Niemcy i inne najbogatsze państwa UE. Przy tym Niemcy zachowały odpowiedni potencjał, aby skutecznie ratować finansowo chylącą się ku upadkowi strefę euro.

Po drugie, zjawisko eurosceptycyzmu (lub euronerealizmu) w coraz większym stopniu obejmuje elity polityczne, w dodatku te, które wcześniej należały do głównego nurtu politycznego. Przed kryzysem eurosceptycyzm był skutecznie wypychany na margines życia politycznego lub był wręcz klasyfikowany jako przejaw populizmu i nacjonalizmu. W okresie kryzysu pod wpływem oddziaływania lokalnej demokracji elity poszczególnych państw stają się coraz bardziej zorientowane na realizację narodowych interesów w UE. Elity krajów dominujących dążą do „przechwycenia” władzy w instytucjach unijnych w celu łatwiejszego realizowania projektów narodowych. Jednocześnie starają się przerzucić koszty kryzysu na najstarsze państwa eurolandu. Prowadzi to do porzucenia zasady solidarności i zamiany modelu wspólnotowego na model *power politics* w UE.

Po trzecie, pobudzenie demokracji lokalnej zdaje się oddziaływać silniej w państwach największych, w których mocniejsza jest tożsamość narodowa, wzmacniana m.in. przez odniesienie do własnej konstytucji i narodowej suwerenności. Należy bowiem podkreślić, że procesy integracji europejskiej od samego początku nierówno dystrybuują władzę polityczną między państwami centralnymi i peryferyjnymi w UE. Tym samym te państwa, które są bardziej wpływowe w instytucjach europejskich mogą również zachować większy poziom własnej podmiotowości i suwerenności narodowej. To nie przypadek, że dla losów integracji europejskiej tak

4 Por. A. Moravcsik, *Europe After the Crisis. How to Sustain a Common Currency*, „Foreign Affairs”, May–June, 2012, s. 54–68

5 J. D. Medrano, op. cit., ss. 192, 199

duże znaczenie mają orzeczenia niemieckiego trybunału konstytucyjnego. W Niemczech silniejsze jest bowiem tak poczucie suwerenności, jak i tożsamości konstytucyjnej⁶. Natomiast słabsze państwa mają nie tylko mniejszy wpływ polityczny, ale również skłonność do silniejszego podporządkowania w polityce europejskiej inicjatywom krajów dominujących. Mają też mniejsze ambicje suwerennego wpływania na politykę UE. Oznacza to w praktyce, że inny jest wpływ wyborców i instytucji demokratycznych w poszczególnych państwach na bieg spraw europejskich. Wyborcy z krajów centralnych mają faktycznie większy wpływ na decyzje UE aniżeli ci z państw mniejszych i usytuowanych peryferyjnie. Dlatego np. wyborcy niemieccy mogą faktycznie blokować możliwości powstania unii transferowej, a więc zwiększonej redystrybucji własnych podatków do państw peryferyjnych UE. Właśnie dlatego zmiana nastawienia elit francuskich i niemieckich do integracji europejskiej skutecznie zmienia model integracyjny ze wspólnotowego na hierarchiczny, opierający się na dyktacie politycznej siły. Z kolei wyborcy z państw peryferyjnych muszą poddać się presji zewnętrznej lub z UE wystąpić.

Jak przezwyciężyć kryzys Unii?

Eksperci zwracają uwagę⁷, że warunkiem powodzenia projektu europejskiego jest jego upolitycz-

nienie, a zwłaszcza demokratyzacja najważniejszych procesów integracyjnych. Czy jednak w Europie można odbudować demokrację? Czy problemy demokracji wcześniej rozsądzają lub zdestabilizują Unię? Jeśli odbudowa demokracji jest tak ważna dla powodzenia integracji, to powinna się dokonać jednocześnie w sferze instytucji i wiodącej ideologii proeuropejskiej.

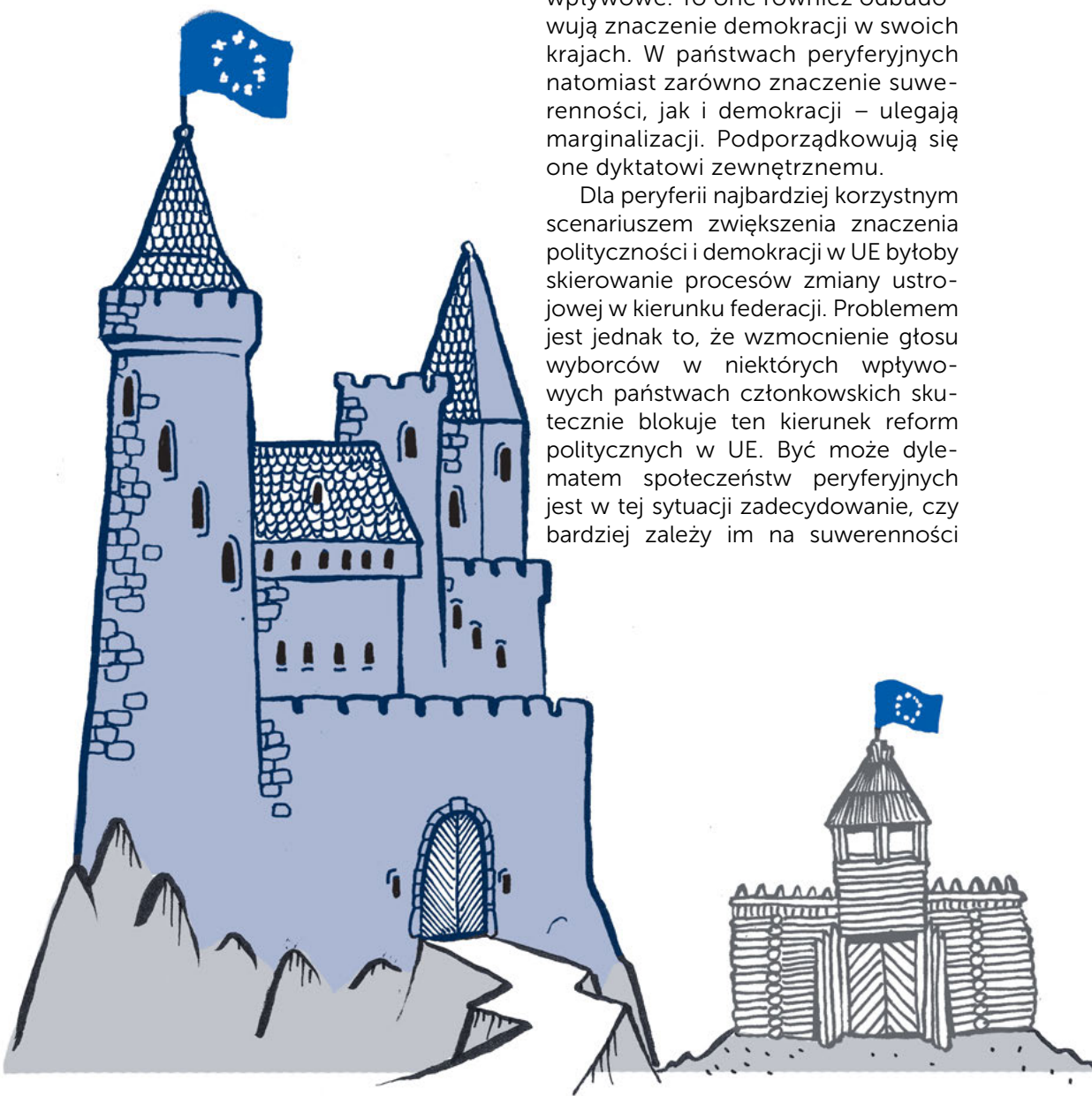
W odniesieniu do kwestii instytucjonalnych⁸ należy zauważyć, że w okresie kryzysu gospodarczego widać silne osłabienie modelu wspólnotowego. Jego podstawową słabością systemową był deficyt demokracji na szczeblu unijnym oraz lekceważenie procedur demokratycznych na poziomie narodowym. Model wspólnotowy starał się legitymizować integrację w oparciu o użyteczność Unii dla zwykłych obywateli. Słabością mechanizmów wspólnotowych okazał się rozproszony i nadmiernie technokratyczny sposób zarządzania. System decyzyjny zawiódł zwłaszcza wtedy, kiedy był najbardziej potrzebny, a więc w okresie kryzysu.

Pod wpływem kryzysu następuje powrót do założeń konfederacji międzyrządowej. Zmierza ona coraz bardziej w kierunku modelu *power politics*, który można również porównać z XIX-wiecznym „koncertem mocarstw” w Europie. Opiera się on na silnej hierarchii władzy między

6 Szerzej na ten temat: G. J. Jacobsohn, *Constitutional Identity*, Cambridge 2010

7 L. Tsoukalis, op. cit., s. 38

8 Szerzej na temat dylematów ustrojowych UE: T. G. Grosse, *Europa na rozdrożu*, Warszawa 2008



państwami członkowskimi. W takim modelu więcej suwerenności zachowują państwa najbardziej w UE wpływowe. To one również odbudowują znaczenie demokracji w swoich krajach. W państwach peryferyjnych natomiast zarówno znaczenie suwerenności, jak i demokracji – ulegają marginalizacji. Podporządkowują się one dyktatowi zewnętrznemu.

Dla peryferii najbardziej korzystnym scenariuszem zwiększenia znaczenia polityczności i demokracji w UE byłoby skierowanie procesów zmiany ustrojowej w kierunku federacji. Problemem jest jednak to, że wzmocnienie głosu wyborców w niektórych wpływowych państwach członkowskich skutecznie blokuje ten kierunek reform politycznych w UE. Być może dylematem społeczeństw peryferyjnych jest w tej sytuacji zdecydowanie, czy bardziej zależy im na suwerenności

i demokracji poza strukturami Unii, czy też większym bezpieczeństwie za cenę

Być może jedynym realnym ratunkiem dla UE nie jest idylliczna federacja, ale

Elity krajów dominujących dążą do „przechwycenia” władzy w instytucjach unijnych w celu łatwiejszego realizowania projektów narodowych. Jednocześnie starają się przerzucić koszty kryzysu na naj słabsze państwa eurolandu.

podrzędnego znaczenia politycznego w zhierarchizowanej UE?

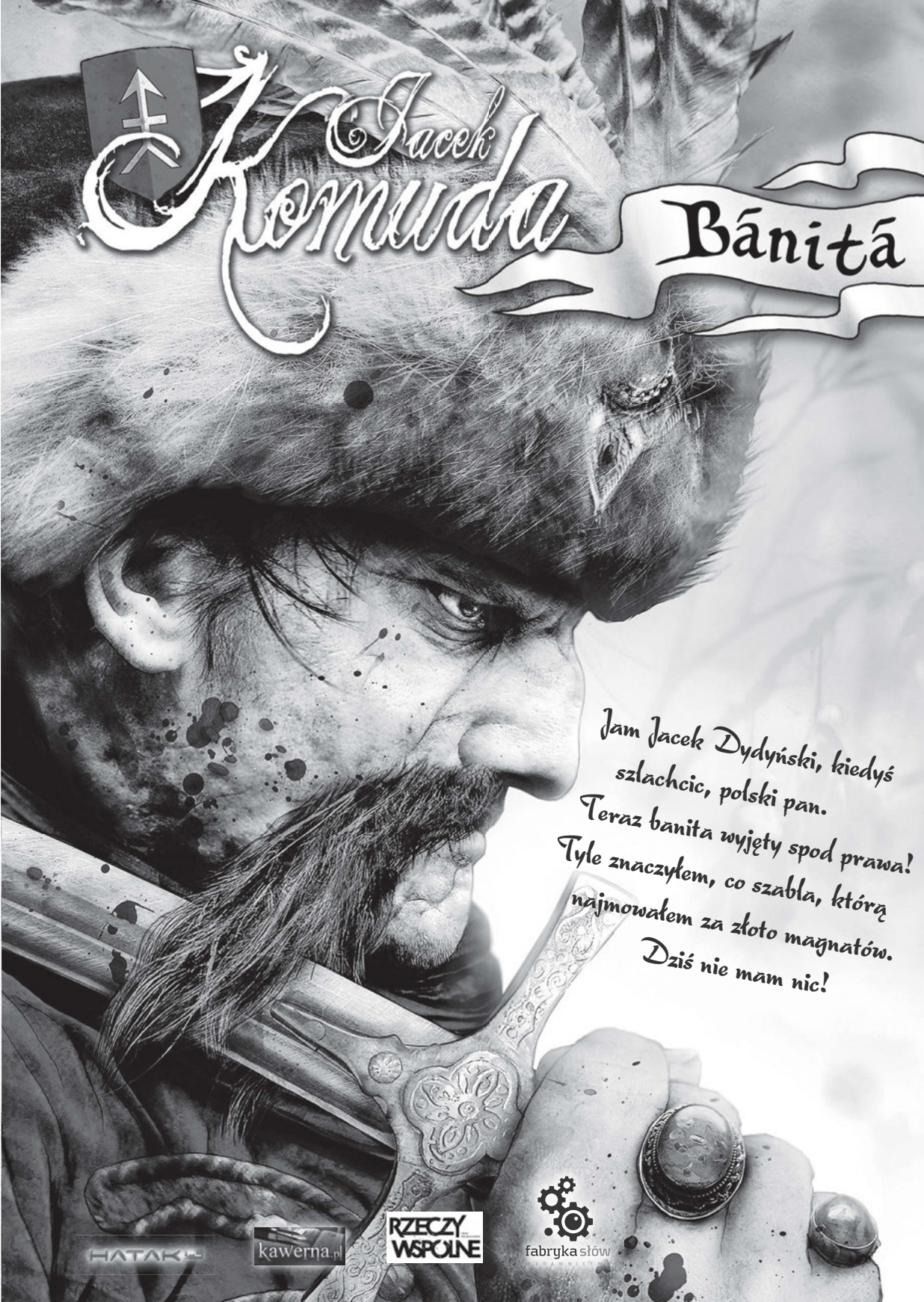
Wrócić do solidarności!

Na płaszczyźnie ideowej kluczowe znaczenie dla zachowania spójności politycznej w UE ma odejście od ideologii liberalnej, która dotąd była podstawową doktryną polityczną integracji europejskiej. Neoliberalizm w ekonomii doprowadził do destabilizacji systemu finansowego i odejścia od promowania polityki wzrostu gospodarczego w Europie. Wywołało to poważne trudności gospodarcze, co w coraz większym stopniu wpływa na dezintegrację polityczną w UE. Elity proeuropejskie powinny powrócić do pomysłu Europejskiego Modelu Społecznego, w którym zasadnicze znaczenie ma wzrost gospodarczy i zwiększanie spójności społecznej oraz gospodarczej w ramach zjednoczonej Europy. Odbudowa poparcia dla integracji europejskiej wiedzie przez skuteczne zapobieżenie kryzysowi oraz systematyczne podwyższanie jakości życia zwykłych obywateli.

próba odbudowy równowagi modelu wspólnotowego⁹? Jest to trudne, a nawet niewykonalne, jeśli w Europie nie zostaną odbudowane mechanizmy wzrostu gospodarczego. Dlatego tak istotne znaczenie ma kwestia wiodącej idei europejskiej. Ważny jest również powrót do zasady solidarności i bardziej sprawiedliwego podziału kosztów integracji między poszczególnymi państwami członkowskimi.

Tomasz Grzegorz Grosse (ur. 1968), profesor Uniwersytetu Warszawskiego i Instytutu Studiów Politycznych PAN, ekspert Instytutu Sobieskiego i Instytutu Kościuszki. Specjalizuje się w analizie polityk gospodarczych UE, zarządzaniu w administracji publicznej, procesach europeizacji oraz zarządzaniu w Unii. Ostatnio opublikował *W objęciach europeizacji* (2012).

⁹ Podobny pogląd przed kilku laty wyraził: A. Moravcsik, *Reassessing Legitimacy in the European Union*, „Journal of Common Market Studies”, 2002, nr 40, ss. 603–624



Jacek Komuda

Banita

Jam Jacek Dydyński, kiedyś
szlachcic, polski pan.
Teraz banita wyjęty spod prawa!
Tyle znaczyłem, co szabla, którą
najmowałem za złoto magnatów.
Dziś nie mam nic!

HATAKE

kawerna.pl

RZECZY
WSPÓŁNE



fabryka słów

Człowiek, który był Solomonem Perelem

PIOTR BARTULA

Ratując za wszelką cenę życie wegetatywne, Perel niszczył duchowe fundamenty swojego istnienia. Czy można bez zgubnych dla siebie konsekwencji z równym przekonaniem (a raczej brakiem przekonania) pozostawać komsomolcem i członkiem Hitlerjugend; z podobną żarliwością (a raczej jej brakiem) składać przysięgę Bogu, Hitlerowi i Stalinowi? Czy aby nie są to raczej typowe symptomy śmiertelnego procesu AHNDS, prowadzącego do śmierci tożsamości. Drażeni przez tę chorobę ludzie mimowiednie znajdują właściwy rytm (bo przecież nie sens) trwania (bo przecież nie życia) w maszerującej kolumnie, niezależnie od tego, dokąd i w jakim celu tę kolumnę skierowano.



W europejskiej galerii „Noc Cywilizacji” pomiędzy innymi postaciami odnajdujemy figurę niemieckiego Żyda, Solomona (Szlomo) Perela, którego życie przypadło na czas Wielkiej Europejskiej Wojny Domowej, wygranej przez dwa zewnętrzne imperia: amerykańskie i sowieckie. Chcąc przetrwać we wrogim świecie, Perel zmieniał maski raz wrogich, a raz sojusznicznych ideologii. Od 1941 do 1942 r. służył w Wehrmachcie, a w latach 1942–1945 uczył się w szkole Hitlerjugend. Przebywając wcześniej (w 1939 r.) w sowieckim komsomole, powtarzał wraz z innymi slogan, iż religia to opium dla ludu. W szczęśliwszych już czasach odzyskania przez Europejczyków względnej wolności został bohaterem filmu Agnieszki Holland „Europa Europa” (1990).

Swego czasu obraz ten zrobił karierę w Europie i za oceanem, aspirując nawet do Oscara. Uczestnicząc w licznych konferencjach prasowych pierwowzór filmowego bohatera pełnił wówczas rolę żywej reklamy „Europy Europy”. Podczas wielu przedpremierowych pokazów filmu intrygował szeroką publiczność opowieścią o swojej śmiertelnej chorobie utraty tożsamości. Miotany niczym liść podmuchami Historii, przez nią znękany, w końcu jednak wziął na niej odwet i został Kimś Konkretnym – bohaterem filmu i mediów. W jesieni życia zdecydował się na nie lada akt odwagi, mianowicie opowiadanie o swoim zniszczonym życiu, o ukrywaniu autentycznej tożsamości, która w rezultacie prawie z niego wyparowała.

Ketman nietypowy, ale nie wyjątkowy

Figura Perela odstania przed nami – przynajmniej częściowo – tajniki ketmana i strategii przetrwania w społecznej jaskini cieni ludzkich widm, tak w czasie wojny jak i pokoju. Jak wiemy od sławnego poety i uciekiniera ze strefy zniewolonej polis, ketman¹ była to specyficzna metoda obrony przed zniewoleniem wewnętrznym, obrona przez ludzi, którzy przymusowo potknęli pigułkę Murti Binga², czyli dostarczony im drogą organiczną światopogląd³. Ketman był zatem w praktyce czymś w rodzaju przystosowawczej taktyki zachowania indywidualności w warunkach poważnego zagrożenia życia wegetatywnego i – co ważniejsze – życia duchowego. Postępowanie takie nie było oczywiście prostą zdradą kogoś, czegoś lub samego siebie, chociaż granica zdrady bywała płynna i niepostrzeżenie – umyślnie lub mimowiednie – przekraczana. Przypominało znany w terapii uzależnień zespół iluzji i zaprzeczeń.

Przypadek Perela był nietypowy, ale nie wyjątkowy. Według udokumentowanych danych w Wehrmachcie w okresie II wojny światowej służyło około stu pięćdziesięciu tysięcy Żydów i mischlingów aspirujących do

1 Pojęcie to wprowadził i spopularyzował swego czasu Czesław Miłosz w powieści *Zniewolony umysł* (1953).

2 Był to mongolski filozof z powieści Stanisława Ignacego Witkiewicza *Nienasycenie* (1930).

3 Na ten temat patrz: A. Walicki, *Spotkania z Miłoszem*, Warszawa 1985, rozdz. pt. *Nowa Wiara*

bycia Aryjczykami lub tylko aryjskość symulujących, by przetrwać⁴. Służba ta nie oznaczała oczywiście pełnej identyfikacji z nazizmem, chociaż niekiedy dochodziło do prawdziwej i zbrodniczej kolaboracji, a nawet do kierowania obozami koncentracyjnymi. Tak

Niejednoznaczność sytuacji granicznych

Rzecz jasna, każdy konkretny przypadek wymagałby osobnego rozpatrzenia, ponieważ granica między zwykłą zdradą dla kariery a ketmanem jest – pomijając przypadki ewidentne

Miotany niczym liść podmuchami Historii, przez nią znękany, w końcu jednak wziął na niej odwet i został Kimś Konkretnym – bohaterem filmu i mediów.

było np. w przypadku Fritza Scherwitza, który – jako Żyd i członek NSDAP – zarządzał obozem koło Rygi, a po wojnie pracował w Monachium, w organizacji pomagającej Żydom w odzyskaniu zagrabionego przez nazistów majątku. W końcu został rozpoznany i jako zbrodniarz wojenny⁵ postawiony przez sądem. Z kolei spokrewnionego z Żydami feldmarszałka Erharta Milcha Adolf Hitler cenił ponoć wyżej niż Hermann Goeringa. Nie zgłaszał również zastrzeżeń wobec żydowskich oficerów, którzy służyli w marynarce pod rozkazami admirała Karla Doenitza⁶.

– trudno uchwytne i płynne. Co innego wszak pod pozorem ketmana pozostawać zbrodniczym kolaborantem, a co innego uprawiać politykę przetrwania dla dobra własnego, bliźnich czy nawet narodu. W gruncie rzeczy przeważnie nie wiadomo, kiedy mamy do czynienia ze zwykłą nikczemnością i jej późniejszym usprawiedliwianiem, a kiedy z wyrafinowaną formą oporu

blak, Wrocław 2010, s. 413. Autor ten potwierdza dane Rigga: „Jak twierdzi amerykański historyk Brian Marc Rigg, w sumie służyło w Wehrmachcie ok. stu pięćdziesięciu tysięcy mężczyzn będących »w potowie« i »w jednej czwartej« Żydami – od szeregowego żołnierza do feldmarszałka. 18 września 1942 r. minister żywności i rolnictwa Rzeszy zarządził, że wszystkie, od Pierwszego rozporządzenia do Ustawy o obywatelstwie Rzeszy z 14 listopada 1935 r., postanowienia dotyczące mocnego ograniczenia zaopatrzenia w artykuły spożywcze ludności żydowskiej zostają zniesione, jeżeli dotyczą one Żydów, których »potomkowie« pomimo »ich cech mieszanych« należeli do Wehrmachtu”, s. 413.

4 Na ten temat patrz: B. M. Rigg, *Żydowscy żołnierze Hitlera. Nieznana historia nazistowskich ustaw rasowych i mężczyzn pochodzenia żydowskiego w armii niemieckiej*, Warszawa 2009. Jak pisze autor książki, inspiracją dla jej napisania była także „opowieść o Żydzie Szlomo Perelu, który ukrywał swoją tożsamość”.

5 Tamże, s. 279

6 Na ten temat patrz: W. Maser, *Hitler i Stalin. Falszerstwo. Wymysł. Prawda*, tłum. Beata Gi-

wobec ideologicznego Lewiatana, do którego życzeń i poleceń trzeba się przystosować, aby nie zginąć. Ceną wewnętrznego oporu wobec ideologii i propagandy musi być czasami „hańba” przystosowania do dobrze zrozumianej tzw. konieczności historycznej. Zaiste, niełatwo każdorazowo zgadnąć, gdzie kończy się strumień ketmana, a zaczyna rzeka nikczemności; trudno rozeznaczyć, w którym momencie ochronna maska niszczy autentyczną twarz.

Historycy myśli politycznej i filozoficznej z łatwością wskażą wiele przypadków filozofowania w masce (np. Kartezjusz). Myślicielom znane jest też pojęcie sytuacji granicznej, tworzącej problemy nierozwiązywalne na gruncie tradycyjnej etyki. Dobrą ilustracją takiej sytuacji jest np. dylemat rozpatrywany przez Alberta Venna Diceya: żołnierz może być skazany przez sąd polowy na rozstrzelanie za odmowę wykonania rozkazu, ale sąd cywilny i ławnicy mogą postawić go na szubienicę za jego wykonanie⁷. Problem w tym, że pojęcie sytuacji granicznej każdorazowo definiują konkretne osoby pozostające na różnych poziomach moralnych i intelektualnych. Dla niejednego z nas „sytuacją graniczną” będzie faktyczny wybór życia własnego lub brata, a dla innego zaledwie obawa o awans lub utratę samochodu. Notabene izraelscy Żydzi dokonali po wojnie praktycznego rozróżnienia maski ketmana i zbrodniczego konformizmu, wprowadzając

do prawodawstwa Izraela odstępstwo od prawa religijnego Halacha, uznającego za Żyda wyłącznie tego, kto miał matkę Żydówką lub w należyty sposób przeszedł na judaizm. Znany jest precedens Rufeisena, wprowadzający kategorię Żyda katolika i legalizujący konwersję dla ratowania życia w latach od 1941 do końca wojny⁸. Ortodoksyjni Żydzi odmówili jednak takim „zaryzowanym” Żydom prawa do bycia autentycznymi Żydami.

Nabyty Zespół Deficytu Natury Ludzkiej

Niezależnie od politycznego i społecznego wymiaru tego problemu, dla zrozumienia sytuacji figur z galerii „Noc Cywilizacji” ważniejszy jest indywidualny wymiar losu Solomona Perela, wykazujący wszelkie objawy choroby Nabytego Zespołu Deficytu Natury Ludzkiej (AHNDS)⁹, nieuchronnie wiodącej do śmierci tożsamości. Polegała ona na tym, że prawie od początku swojego świadomego życia

8 „Państwo Izrael stosuje tzw. precedens Rufeisena, uznającego za Żyda każdego, kto spełnia warunki Halachy i kto nie przejął innej religii. Oznacza to, że można być powiedzmy, Żydem katolikiem wedle Halachy, ale wedle izraelskiego prawa – już nie. Zasadę wprowadzoną przez precedens Rufeisena złagodzono przez nadawanie tytułu Sprawiedliwego wśród Narodów Świata, uznając za dopuszczalną konwersję, która ratowała życie. Yad Vashem ustalił nieco arbitralnie, że uznaje żydostwo osób, które przeszły na inne wyznanie od początku 1941 r. do końca wojny.

9 Na ten temat: P. Bartula, *Nabyty Zespół Deficytu Natury Ludzkiej*, w: *Liberalizm u kresu historii*, Kraków 2011

7 Na ten temat patrz: H. Arendt, *Eichmann w Jerozolimie*, Kraków 1987, s. 118

uprzytamniał on sobie, że jest winny, nie wiedząc, dlaczego. W podobny sposób odczuwają świat dzieci, które nocą nie potrafią zapanować nad swoją fizjologią, oraz religijni młodzieńcy,

młodzieniec musiał swą nagość kryć przed ukochaną z Hitlerjugend. Wszystko to sprawiało, że zaczął chorować na AHNSD, tracąc powoli zdolność rozróżniania między tym, co jest

Granica zdrady bywała płynna i niepostrzeżenie – umyślnie lub mimowiednie – przekraczana. Przypominało to znany w terapii uzależnień zespół iluzji i zaprzeczeń.

doznający erotycznych marzeń sennych. U Perela odpowiednikiem tych nieprzyjemnych doznań była właściwość – a w psychologicznym odbiorze defekt – fizyczna, która w noc cywilizacji podczas wojny aryjsko-żydowskiej, niemiecko-polskiej, bolszewicko-nazistowskiej, hitlerowsko-stalinowskiej, amerykańsko-europejskiej, wschodnio-zachodniej nabrała złowieszczonego znaczenia. Obrzezanie, które miało przywiązać chłopca do wspólnoty religijno-politycznej, i nadanie mu widzialnego znaku tożsamości religijnej, społecznej i rasowej stało się stygmatem niezawinionej winy. W warunkach przyptywu nazistowskiej ideologii oznaczało psychologiczną i egzystencjalną inicjację w zło świata. To, co w rodzicielskich zamierzeniach miało tożsamość młodzieńca wzmacniać, w nowych warunkach społecznych, nie pozwoliło mu pozostać sobą. Przeciwnie: stało się przyczyną licznych nieszczęść psychologicznych, politycznych i erotycznych, albowiem

śluszne, a tym, co pojawia się i znika jako cień słuszności w społecznej jaśmini nazizmu czy komunizmu. Głównym motywem jego postępowania stał się więc strach przed śmiertelną demaskacją i „dobre” przystosowanie do złej Europy. Zmagając się z tragicznymi okolicznościami życia, dzięki taktyce ketmana (a może tylko wrodzonemu sprytowi) wychodził cało z wielu opresji, gdy inni ginęli. Brak ideowego zaangażowania pozwalał mu bowiem przyjmować barwy różnych ideologii oraz przybierać kształty różnych społecznych masek.

Nie sposób oprzeć się wrażeniu, że za wszelką cenę ratując życie wegetatywne, Perel niszczył duchowe fundamenty swojego istnienia. Czy można bez zgubnych dla siebie konsekwencji z równym przekonaniem (a raczej brakiem przekonania) pozostawać komсомolcem i członkiem Hitlerjugend; z podobną żarliwością (a raczej jej brakiem) składać przysięgę Bogu, Hitlerowi i Stalinowi? Czy aby nie są to

raczej typowe symptomy śmiertelnego procesu AHNDS, prowadzącego do śmierci tożsamości. Drażeni przez tę chorobę ludzie mimowiednie znajdują właściwy rytm (bo przecież nie sens) trwania (bo przecież nie życia)

chorobą ludzi wzmacniał lub ją wymuszała, a poczucie indywidualności ostatecznie gasił, uśmiercał. Graniczy z pewnością opinia, iż od maszerowania i kolektywnego śpiewu nic lepiej człowieka nie potrafi wyprać z wszelkiej

Niełatwo każdorazowo zgadnąć, gdzie kończy się strumień ketmana, a zaczyna rzeka nikczemności; trudno rozeznaczyć, w którym momencie ochronna maska niszczy autentyczną twarz.

w maszerującej kolumnie, niezależnie od tego, dokąd i w jakim celu tę kolumnę skierowano – ku aryjskiemu, komunistycznemu czy demoliberalnemu kresowi historii. „Za wszystkimi tymi masówkami i apelami – pisał Hermann Rauschning – kryła się myśl, iż w maszerującej, ćwiczącej kolumnie, w wymarszu, w miarowym kroku wojskowym przez funkcjonalną integrację można wzmocnić przeżycie wspólnoty pierwotnej”¹⁰. Jeden i drugi sposób maszerowania taką pierwotną „autentyczność” u wielu wydrążonych

treści moralnej i sprowadzić go wyłączenie do funkcji pierwotnych. Nie jeden wybitny człowiek z galerii „Noc Cywilizacji” w przypiętych szczerości opowiadał, że obserwując kolektywne przemarsze ze śpiewem, chciał się do nich przyłączyć¹¹.

Po zakończeniu wojny Perel nie musi już maszerować, bo wolny świat

10 H. Rauschning, *Rewolucja nihilizmu*, tłum. Stanisław Łukomski (Julian Maliniak), Warszawa 1996. Patrz. s. 76. I dalej: „Owe wieczne marsze po nocy, owe przemarsze wspólnoty narodowej wydawały się niedorzecznym marnotrawieniem sił i czasu. Dopiero znacznie później i w tym również dostrzeżono wyrafinowaną wolę, dobrze umiejacą dostosować środki do przyświecającego jej celu. Maszerowanie odwraca uwagę. Maszerowanie zabija myśl. Maszerowanie niweczy indywidualność”.

11 Bronisław Łagowski pisze na ten temat: „Przypominają mi się słowa Simon Weil, która napisała, co miano jej później za złe, że gdy słyszy śpiewający oddział hitlerowców, to ma ochotę do nich się przyłączyć”, w: Tenże, *Andrzej Walicki – widz i uczestnik*, s. 62, [w:] *Wokół Andrzeja Walickiego*, Warszawa 2009. Ten sam autor precyzuje tam pojęcie ketmana: „Ketman jest według Walickiego, a także przecież według Miłosza czymś odmiennym od oportunistu i ma miejsce tylko wówczas, gdy jednostka odnosi się do swoich przekonań z powagą, broni swojej wewnętrznej wolności i autentyczności w warunkach, gdy mimo wszystko lub nade wszystko pragnie zachować więź ze wspólnotą wyznającą pewną ortodoksję, której ta jednostka nie jest w stanie przyjąć w całości i bez zastrzeżeń; tamże, s. 60.

tego odeń nie wymaga, tylko płacze nad grobem pochowanego pod Łodzią ojca, zagłodzonego przez niemieckich nazistów... Płacze też, śpiewając stare hymny na spotkaniu z kombatantami nocnych marszów z pochodniami... Można dzisiaj patrzeć na biednego Perela jak na przystłowiowego człowieka bez właściwości, jak na kogoś moralnie przeźroczystego – człowieka czy cień. Reżyser filmu „Europa Europa” tak właśnie zrobiła: powściągnęła język wartościowania i opowiedziała historię kolejnego Kandyda, których w minionych czasach nie brakowało, a i teraz nie brakuje. Figura Perela przywodzi na myśl refleksje filozoficzne w stylu Jeana-Paula Sartre’a czy Witolda Gombrowicza: iż człowiek jest wyłącznie Sytuacją, która całkowicie określa jego zachowanie i myślenie. Skoro autentyczność jest niemożliwa, to oczywiście w żaden sposób nie można ocenić ludzkiego postępowania, bo braknie nam kryterium indywidualnej, pozasytuacyjnej „winy”. Tam, gdzie znika idea nieśmiertelności, giną kryteria oceny.

Szukając miary

Za zbyt łatwe, a nawet nieuczciwe trzeba więc uznać moralistyczne krucjaty prowadzone z pozycji komfortu dzisiejszego konsumenta programów telewizyjnych typu „Big Brother” wobec ludzi podejmujących decyzje w skrajnie niekomfortowych sytuacjach granicznych, dyktowanych przez prawdziwego Wielkiego Brata. Za zbyt łatwe trzeba także uznać sądy młodych ludzi biczących

moralistyczną szpicrutą swoich dziadków i ojców, bez uwzględniania ich ówczesnych sytuacyjnych motywacji. Pozorny komfort moralny młodych i zdrowych skazuje ich często na wadliwe postrzegania „starych” z ich „chorą” historią. Hipertrofia ocen to prosta droga do fałszywej etyki rozliczeń niezawinionych win i nakładania nienależnych kolektywnych kar. W tym samym stopniu dotyczy to oceny konkretnych nazistów, konkretnych komunistów i konkretnych Żydów kolaborujących z ich własnymi oprawcami.

A jednak chwalebna powściągliwość ocen rodzi zawsze niepokojące pytania: jak w takiej całkowicie przeźroczystej etycznej atmosferze odróżnić ofiarę Perela od oprawcy Adolfa Eichmanna, który także uprawiał ketman przetrwania i ketman pracy zawodowej, wymagającej awansu dla utrzymania rodziny? Jak odróżnić postawę Rudolfa Hessa od zachowania św. Maksymiliana Kolbego, który cenił własne życie niżej niżeli człowieczeństwo w sobie. Jak odróżnić Europę Adolfa Hitlera od Europy Immanuela Kanta, utraconej przez Perela i wielu innych żyjących do dzisiaj inteligentnych ludzi, próbujących w noc cywilizacji znaleźć rytm swojego życia w tańcu prowadzonym przez Stalina i Hitlera...

Moralistyka czasów komfortu

My, ludzie czasów komfortu, lubimy megalomańsko głosić, że ketman przetrwania nas nie dotyczy, bo rozpowszechniony był ponoć wyłącznie w świecie pozbawionym wolności,

kiedy ciemność w południe niszczyła autentyczne życie, oferując w zamian prymitywną integrację maszerującej drużyny. Czy jednak czas ten został już rzeczywiście zamknięty w galerii figur woskowych „Nocy Cywilizacji”? Można w to wątpić. Nadal dosyć poważną i wciąż powtarzaną omyłką poznawczą jest utożsamienie przymusu państwowego z totalitarnym. A przecież zasadniczym składnikiem totalnego przymusu jest nie tyle utrzymanie obywateli w rygorach strachu, co zmuszanie ich do błędnego postrzegania rzeczywistości¹². Należałoby rozróżniać, choć nie jest to łatwe zadanie, postawę uznania przez wielu ludzi żyjących w czasach nazizmu i komunizmu realnego państwa – Lewiatana – od podlegania „władzy” utopii komunistycznej i rządów nadrzeczywistości. Nie da się zaprzeczyć, że powojenna polska polis z ocalałymi w niej ludźmi, którzy nie chcieli uciekać, musiała pozostawać w obrębie sowieckiego imperium, stanowiącego fragment geopolitycznego fatum, do którego można było się przystosować albo zginąć. Ludzie żyjący w realnym świecie

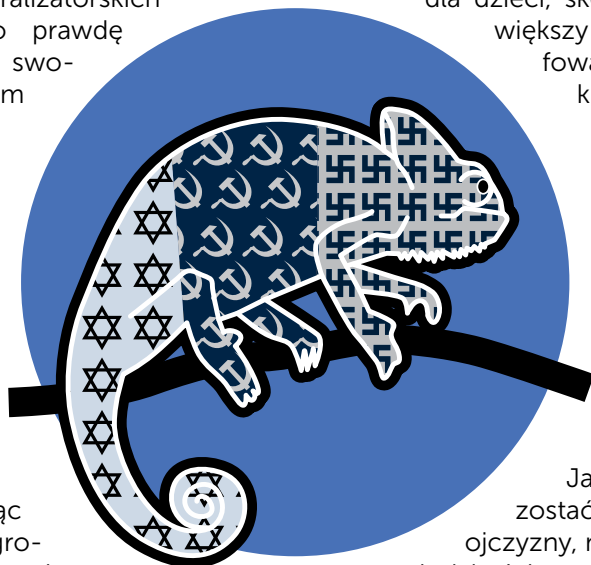
narodowego lub międzynarodowego socjalizmu dosyć często przyjmowali taktykę przystosowawczą i/lub graniczącą ze „zdradą” opcję „ketmanienia” w ramach tzw. opozycji wewnątrzsystemowej. Trudno się dziwić, że opcji tej bronią do dzisiaj przed bojowymi uciekinierami ze strefy zniewolonego umysłu. Taktyka ta była bowiem realizacją postawy legalizmu państwowego, ale nie ustrojowego, w sytuacji gdy państwo było tylko (aż?) lenne. Nawet konspiracyjny pseudonim Leśława Maleszki vel Ketmana przywraca niepokojące nas pytania: czy komunizm w Polsce był zdradą narodową, czy raczej był to narodowy ketman przetrwania i ratowania tego, co się da (np. granicy na Odrze i Nysie), zaś ketman wewnątrzustrojowy (np. „Tygodnika Powszechnego”) byłby tylko zwykłym oportunizmem czy aż filozofowaniem w masce.

Zawieszając odpowiedź na ten temat (o ile w ogóle prawdziwa i bezstronna odpowiedź w tej sprawie jest możliwa), sądzę, że w każdych warunkach można pozostać patriotycznym państwowcem i filozofem ze zmysłem rzeczywistości. Konieczność ustępowania przed przeważającymi siłami wroga, przystosowania się do obiektywnych danych historii politycznej (nie mylić z determinizmem historycznym) musi iść jednak w parze z oporem wobec presji utopii i fałszywych ideologii, zachowaniem niezależności sądu wobec propagandy czy zac zadających umysł wyobrażeń o rychłym nadejściu bezpieczeństwa tego ładu społecznego.

12 To często gubione lub zapomniane rozróżnienie tkwi u podstaw wysoce dyskusyjnego, hobbesowskiego tekstu B. Łagowskiego *Lewiatan zwany PRL-em*, [w:] tenże, *Szkice antyspołeczne*, Kraków 1997. Łagowski opisał w nim powolne wydobywanie się realnego państwa jako wyłączenie aparatu przymusu spod władzy państwa utopii komunistycznej i rządów nadrzeczywistości. Równocześnie jednak musiało ono pozostawać w obrębie sowieckiego imperium, stanowiącego fragment geopolitycznego fatum, do którego można było się przystosować lub zginąć.

Moralistyczne ataki młodego pokolenia – tak polskiego, jak i niemieckiego – nastawione na potępienie własnych ojców (lub ojców kolegów) w przeszłości, bez zrozumienia zespołu ówczesnych motywacji tracą szybko na znaczeniu. Sfatszowana moralizatorstwem historia była, jest i będzie mistrzynią fakszywej polityki. W trybie osobistej dygresji dopowiem, że sam kilkakrotnie stawiałem się „ofiara” moralizatorskich bojowników o prawdę zarzucających swoim oponentom

i włączenia naszego kraju w system polityczno-militarny stworzony przez ZSRS w Europie Środkowo-Wschodniej. A ktoś chce uchodzić za zwolennika Polski ciemnionej przez Stalina? Podobnie się zdarzyło, gdy w gronie humanitarnych socjalistów, chwalać (ale nie za bardzo) leseferystyczny kapitalizm dziewiętnastowieczny, „stałem się” zwolennikiem niewolniczej pracy dzieci. A ktoś chce być tyranem dla dzieci, skoro nawet największy tyran fotografował się z dzieckiem na rękę?



kłamstwo lub zdradę. Głosząc np. kiedyś w gronie antykomunistycznych narodowców

niezbyt w istocie kontrowersyjną opinię, iż dowództwo Armii Krajowej, rzucając na daremną śmierć tysiące najbardziej patriotycznie nastawionych młodych Polaków, ułatwiło komunistom zdobycie władzy, znalazłem się w sytuacji zastraszenia moralnego, że jestem jakoby zwolennikiem Armii Ludowej, która posłużyła Stalinowi do przejścia kontroli nad Polską,

Jak widać, łatwo zostać zdrajcą dzieci, ojczyzny, narodu, a nawet ludzkości.

Między Sokratesem a Perelem

Morał: Lustratorzy ludzkich sumień strzeżcie się moralnych rozliczeń „po końcu historii”! Zamiast w ramach retro-wojny oceniać i rozliczać dziadków, zastanówmy się raczej nad nowym ketmanem demokratycznego awansu, nad współczesnym systemem iluzji i zaprzeczeń. Przeczytajmy na serio np. pana Alexisa de Tocqueville’a,

kiedy z kasandryczną precyzją ujawnia skryty despotyzm demokratycznej władzy: „Bierze ona w swoje opiekuńcze i potężne dłonie każdego człowieka po kolei i ulepiwszy go wedle własnego

której należy, od sytuacji, w której był się znalazł. Tworzy on określone reguły postępowania w stosunku do kolektywu, grupy lub do koterii intelektualnej, z którą wiąże go zyski prestiżowe lub

Skoro autentyczność jest niemożliwa, to oczywiście w żaden sposób nie można ocenić ludzkiego postępowania, bo braknie nam kryterium indywidualnej, pozasytuacyjnej „winy”. Tam, gdzie znika idea nieśmiertelności, giną kryteria oceny.

upodobania, pochyla się z kolei nad całym społeczeństwem. Oplątuje je siecią matych, zawitych, drobiazgowych i jednolitych reguł, których zerwać nie potrafią nawet najoryginalniejsze umysły i najżywotniejsze duchy, chcące wznieść się ponad tłum. Nie łamie woli, lecz ją oślabia, nagina i opanowuje. Rzadko zmusza do działania, lecz zawsze staje na przeszkodzie wszelkiemu działaniu. Nie niszczy, lecz dba, by nic się nie rodziło. Nie tyranizuje – krępuje, ogranicza, oślabia, gasi, ogtupia i zamienia w końcu każdego człowieka i każdy naród w stado onieśmielonych zwierząt, których pasterzem jest rząd”¹³. Rozejrzyjmy się dookoła, a dostrzeżemy cechy tej groźnej tendencji w rozwoju ludzkości i Polski, ujrzymy triumf człowieka o całkowicie socjalnym genotypie. Wszystkie jego normy i zasady postępowania funkcjonują w zależności od sfery społecznej, do

finansowe, punkty za udziały w konferencjach i związane z tym awanse. Wszystko to razem składa się na niepokojącą konkluzję dotyczącą niezniszczalności istoty różnie nazywanej (człowiek masowy, *homo sovieticus*, normalnos, ketman), z której w zależności od potrzeb i sytuacji można ulepić wszelkie pożądane postaci.

Prędzej czy później każdy z nas stanie przed sokratejską próbą: wypić cykutę prawdy i autentyczności czy żyć, naśladować człowieka, który był Solomonem Perelem.

Piotr Bartula (ur. 1957), filozof i eseista, pracownik naukowy Zakładu Filozofii Polskiej Uniwersytetu Jagiellońskiego. Zajmuje się polską i zachodnią filozofią polityki i społeczeństwa. Autor książek: *Kara śmierci – powracający dylemat* (1998), *August Cieszkowski redivivus* (2006), *Liberalizm u kresu historii* (2011) oraz esejów publikowanych w periodykach i wydaniach zbiorowych.

13 A. de Tocqueville, *O demokracji w Ameryce*, tłum. M. Król, Warszawa 1976, s. 470



WYDAWNICTWO RAMBLER

wydajemy tylko to, co jest warte czytania

Churchill

PAUL JOHNSON

Żaden inny człowiek nie uczynił więcej dla obrony wolności i demokracji, a także tych wszystkich wartości, które szczególnie cenimy na Zachodzie. Nikt inny nie zaprzętał opinii publicznej swoimi dramatycznymi wzlotami i upadkami, swoimi wspaniałymi mowami, wpływowym piarstwem, głośnymi opiniami, a także furiami i poczuciem humoru. Churchill zajmował znaczące miejsce na scenie politycznej tak swojego kraju jak i świata przez ponad sześćdziesiąt lat. Zaś po jego odejściu to miejsce ciągle wydaje się puste.

Jak dotąd nikt inny nie połączył w sobie w tak szczęśliwy sposób tak znaczących ról. Jak jeden człowiek mógł wypełniać
je tak długo i z takim powodzeniem?
Zarówno pisanie, jak i czytanie
o jego życiu jest czystą
przyjemnością.

Tekst podstawowy złożono krojem Caslon 12/14 z wykorzystaniem *długiego s*.
Książka jest ilustrowana grafikami Elliota Banfielda.

Zapraszamy do polubienia naszego profilu: www.facebook.com/WydawnictwoRambler
bądź też subskrypcji naszego newslettera: www.wydawnictworambler.pl/newsletter



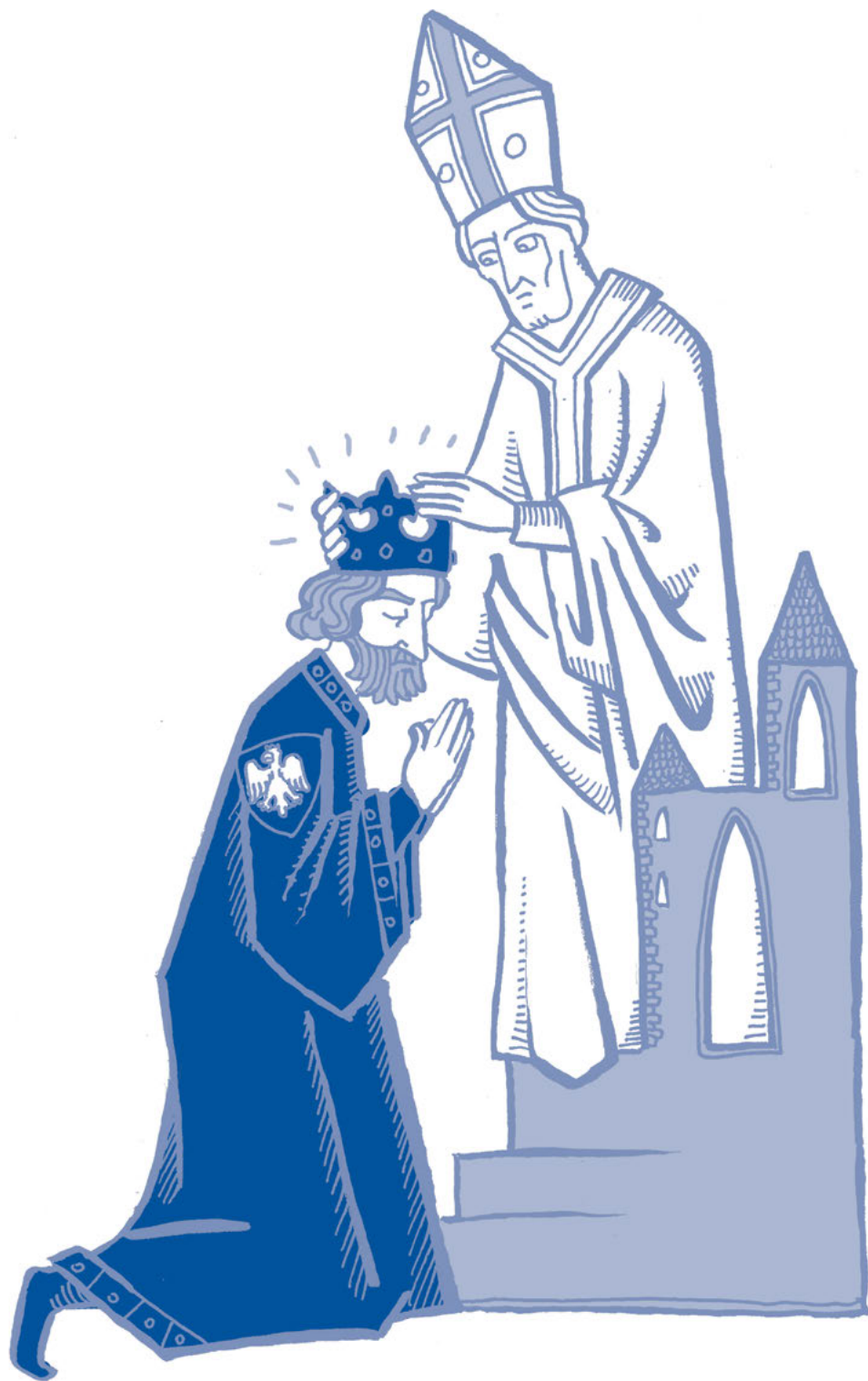
Chimera (fragment rozprawy)

STANISŁAW ORZECOWSKI

Albowiem ci, którzy królami obwołani i uczynieni zostali uroczyście przez najwyższego kapłana, tym się różnią od królów fałszywych, że ci ostatni dbają o swój, ci pierwsi zaś – o interes swych pobratymców; ci ostatni wolni są od praw, tamci – przeciwnie – prawami są związani; ci żyją ponad prawem, tamci – pod jego rządami; ci panują nad niewolnikami, tamci zaś rządzą wolnymi; tych nikt w rządach nie miarkuje, tamtych, gdy rządząc, zbłądzą, powściąga ten sam kapłan, który ich królami uczynił; wreszcie ci nie wiążą się żadną przysięgą, tamtych zaś nie sposób uznać za prawdziwych królów, jeśli się królewską przysięgą nie związali. By jednak nie porzucić owych zapasów między królami i tyranami, nie wręczywszy pierwiej zwycięskiego wieńca: wiedz, iż istnienie tyranii ma swą jedyną przyczynę w pogardzie dla kapłana. Nie wcześniej przecież Saul z króla stał się tyranem, nim nie wzgardził Samuelem, najwyższym kapłanem¹. Nie wcześniej żadny król Achab i Jezabel wstrząsnęli pośród Żydów wszystkim, co boskie i ludzkie, nim zlekceważyli Eliasza². Po co jednak przywołuję pradawne przykłady, skoro na podorędziu mamy dwóch dzikich a bezwzględnych tyranów, Wołocha i Moskala, z których jeden zagraża nam ze wschodu,

1 Por. 1 Sm 15

2 Por. 1 KH 17–22



drugi zaś od południa. Mimo iż swymi rządami uciskają oni chrześcijańskie narody, to jednak nie uznając najwyższego kapłana i nie będąc poddanymi jego władzy, ani nie żyją podług praw, ani strach przed potężniejszą władzą nie powściąga szaleństwa ich okrutnych rządów. Nic dla nich nie znaczy prawo, nic obyczaj czy przyzwoitość, to zaś jest wedle nich sprawiedliwe, co korzystne dla tyrana, i tym jest prawo, co się jemu opłaca. Nie należy jednakowoż uważać, jakoby to tylko Wołochowie i Moskale doznawali tego rodzaju niewolnictwa na skutek zlekceważenia i pogardy wobec najwyższego kapłana. Zwróćmy naszą uwagę ku tym narodom, które odrzuciły najwyższego kapłana: pośród nich nie znajdziemy nawet śladu wolności. Inaczej rzecz się ma z królami obranymi właściwie i w zgodzie z zasadami. Gdy któryś z nich przekracza królewskie obowiązki i zbyt folguje królewskiej wolności, papieska zwierzchność poskramia go i przywodzi do porządku. Dzięki temu jeśli król nie podporządkowuje się owej naczelnej władzy i nie zaprzestaje popełniać występku, dla udręczonych przez niego otworem stoi port i schronienie – samo uchylene władzy królewskiej. Nie bez powodu koronę nakłada na królewską głowę dłoń kapłana, tym samym bowiem staje się jasne, że ziemscy królowie są poddanymi owego kapłana i króla niebieskiego i że ustanowiono ich, aby bronili owego najpotężniejszego kapłaństwa Chrystusowego, które jest obroną Kościoła Boga żywego. Z tego też powodu w przysiędze koronacyjnej kapłan przedkłada królom dwa zadania. Po pierwsze: królowie winni pojąć, że w królestwie Chrystusa połączyła ich ręka nie tyle człowieka, co Boga, w imię pokoju przeciw wojnie, w imię sprawiedliwości przeciw niesprawiedliwości, w imię wiary przeciw wiarołomstwu, w imię prawdy przeciw waszemu, Stankarze³, kłamstwu. Doskonale wyraził to kapłan Samuel w owych słynnych słowach skierowanych do króla Saula, gdy go namaściwszy, ucałował, uroczyście dodając: „Czyż nie namaścił cię Pan na wodza nad swoim dziedzictwem”⁴ i: „Uwolnisz lud swój z rąk jego okolicznych wrogów”⁵. Po drugie: król winien pamiętać, że pod ową potężną ręką Chrystusa (bo ręka kapłana jest ręką Chrystusa) znajduje się pod pieczęcią Boga, a kapłan owym pełnym tajemnicy namaszczeniem przekazuje mu nie tylko królewskie obowiązki, ale i szczególnie hart ducha, który go będzie cechować w sprawowaniu obowiązków. Można to zauważyć,

3 Franciszek Stankar, właśc. Francesco Stancaro (1501–1574), włoski teolog, profesor najpierw uniwersytetu w Padwie, a następnie Akademii Krakowskiej i uniwersytetu w Królewcu. Ksiądz katolicki, który pod wpływem reformacji porzucił kapłaństwo i zajął się wspieraniem kalwinów i antytrynitarzy (zwanych od jego nazwiska stankarystami) w Polsce. Protégowany Stanisława Mateusza Stadnickiego, głównie dzięki niemu zachował resztki wpływów, stając się z czasem, za sprawą ewolucji swoich poglądów (głosił m.in. że Chrystus jest pośrednikiem między człowiekiem a Bogiem tylko w naturze ludzkiej, natomiast w naturze boskiej jest równy Bogu), postacią coraz bardziej marginalną (potępiony nawet na synodach innowierczych w Pińczowie i Książu). Stanisław Orzechowski uczynił go jednak głównym obiektem polemicznego ataku z pozycji kontrreformacyjnych m.in. w słynnej *Chimerze*. Pod koniec życia wrócił do kalwinizmu.

4 1 Sm 10, 1

5 Dokładnie: 1 Sm 12, 11: „Et misit Dominus Hierobaal et Bedan et Ieptha et Samuhel et eruit vos de manu inimicorum vestrorum per circuitum et habitastis confidenter”.

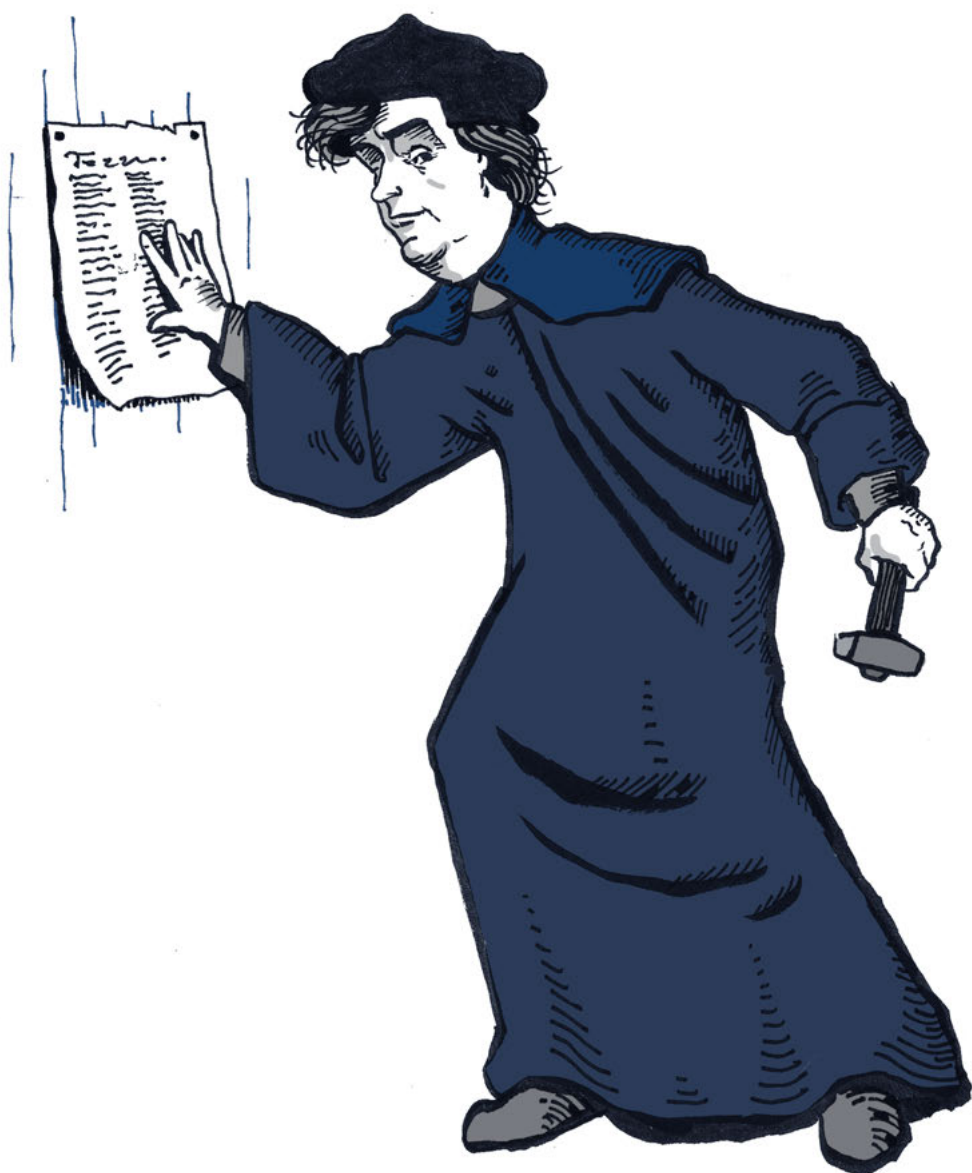
kiedy Samuel, najwyższy kapłan, przydziela Saulowi, przyszłemu królowi, łopatkę zwierzęcia ofiarnego. Królom bowiem namaszcza się barki i ramiona, gdyż to właśnie te części ciała mieszczą siłę i waleczność. Kapłanom natomiast na mocy szczególnego prawa namaszcza się czubek głowy, czym zaznacza się, że najwyższy kapłan tym jest dla królów, czym głowa jest dla ciała, i że nie są prawdziwymi królami ani nie można skądinąd czerpać królewskiej władzy, jak tylko z owego pocałunku Samuela, to jest, iż zupełnie zależą od szacunku i posłuszeństwa dla najwyższego kapłana. Jakaż to inna moc przekazuje naszym królom koronę Chrystusową, jeśli zabraknie papieskiej dłoni? Jeśli z potęgi i blasku królów ubędzie pocałunku kapłana? To bowiem w kapłańskim namaszczeniu naszym królom udziela się całej siły i mocy Chrystusa-króla w dbałości o królestwo Boże, pocałunkiem natomiast uświęca się szacunek królów dla kapłanów Chrystusa. Tak oto królowie, wspierając się na autorytecie kapłanów, dbają pospołu pod przewodnictwem najwyższego kapłana o królestwo króla królów – Chrystusa.

Słusznie zatem – już koronowani – królowie wyruszają ucałować błogosławione stopy najwyższego kapłana, aby w pierwszym z miast, które wybrał Pan Bóg, w siedzibie papieża przede wszystkim wyznać swe posłuszeństwo wobec sługi Chrystusa i potwierdzić owym pocałunkiem pokój, że ich z owym przywódcą wiąże najwyższa wierność. W tej wielkiej i doniosłej uroczystości wyraża się owo całkowite, skromne i uniżone poddaństwo królów śmiertelnych wobec możnej ręki nieśmiertelnego Chrystusa-króla. Uwierz mi, to nie za sprawą stóp śmiertelnego człowieka, jak miałeś do tej pory zwyczaj kłamać, spływa w Rzymie na naszych królów ów wielki zaszczyt, lecz za sprawą samego Chrystusa-Boga i Pana Naszego, którego reprezentuje ów sługa jego zasiadający w Rzymie na wysokim tronie. Gdy król okazuje mu pogardę, tym samym gardzi Chrystusem-królem, tracąc przy tym prawa i miano króla, i nie ma już nic wspólnego z Chrystusem-królem. Nie masz też racji, gdy wyrzekasz na ów pocałunek i ganisz zwyczaj przodków, uciekając się do przykładu Piotra, który zganił Korneliusza⁶, gdy ten przypadł do jego stóp i wzdragał się przed podobnym uwielbieniem, uznając je za niegodne. Korneliusz bowiem nie przybył do Piotra jako do sługi Boga, lecz przybył doń niczym do samego Boga, był bowiem bezbożnikiem i, jak się ich dziś nazywa, poganinem, uważając co znamienitszych ludzi w ślad za przesądem pogan za bogów pod ludzką postacią. Ten to błąd sprawił choćby, że w Likaonii Pawłowi i Barnabie sprawowano nieomal ofiary⁷. Zatem Piotr zganił u Korneliusza nie tyle czyn, co zamiar jego dokonania i pouczył go, iż jest nie Bogiem, lecz człowiekiem, mówiąc doń: „Wstań, ja też jestem człowiekiem⁸, nie zaś Bogiem, jak ci się zdaje”. Gdyby jednak Korneliusz okazał szacunek Piotrowi w ten właśnie sposób nie jako samemu Bogu, lecz jako słudze Bożemu, Piotr nie

6 Dz 10, 1; 44–48

7 Dz 14, 11–18

8 Dz 10, 26



odsunąłby go od swoich stóp, ba, po prawdzie postąpiłby bezbożnie, gdyby nie pozwolił pobożnemu człowiekowi w jego osobie oddać szacunek Bogu.

By jednak powrócić do tego, od czego zawędrowaliśmy aż tutaj: czy nie dostrzegasz, że odrzucając za twoim wezwaniem papieża, Polacy pozbawią się również arcybiskupa, tego bowiem może powołać, jak dają do zrozumienia wszystkie sobory, jedynie rzymski papież. Gdy zaś w Polsce nie będzie arcybiskupa, żadnym sposobem nie ostanie się wśród Polaków ani miano króla, ani królewska siła i potęga. Nie można bowiem, jak już wykazano, obrać w Polsce króla w inny sposób niż za pośrednictwem arcybiskupa gnieźnieńskiego, który dokonuje jego koronacji. Na próżno także podsyłasz nam tu tych twoich złodziejasków, aby to oni w miejsce arcybiskupa zajmowali się w Polsce koronowaniem i wprowadzaniem na urząd króla w miejsce arcybiskupa. Kimże są bowiem owi zbiegowie i uparci łotrowie, którzy wypełniać mają u nas ten obowiązek? Dlaczego przyznajesz prawo obwoływania królem i poświęcania go ludziom, dla których jedyne właściwe miejsce w Polsce to karcer? Samuela, Samuela, powtórzę, Stankarze, potrzeba nam w Polsce, by obwołać królem i koronować Saula, kogoś, kto nie tylko na królewską głowę włoży koronę, a namaściwszy kark, powierzy królowi Polski królewskie obowiązki, lecz i kogoś, kto przyzna mu zdolność i moc wypełniania obowiązków dla naszej pomyślności. Dzięki temu król Polski obwołany nim przez najwyższą i uprawnioną do tego władzę, może być uważany za rzeczywistego sługę Bożego i może przedsięwziąć w Polsce działania właściwe i w należyтым porządku. Skoro więc żaden z ciebie Aaron, a raczej Abyron⁹, skoro żaden z ciebie Samuel, a sam Abaddon¹⁰, skoro twoja trzódka nie jest ową „gromadą proroków”¹¹, pośród których prorokować będzie nasz król, lecz bezbożnym zbiegowiskiem synów Koracha¹², za którym podążywszy, król nasz świadomie zejdzie do piekieł – jak wobec tego wszystkiego zatem śmiesz, wypędziwszy prawdziwych Lewitów i pełnoprawnych kapłanów Pana, posyłać ludzi, od których nikt nam bardziej nie jest obcy, aby dopuszczali się przed obliczem Pana swoich gwałtów? By w świątyni namaszczała, koronowali i ustanawiali polskich królów? Dlaczegoż to – dopuszczając się świętokradztwa i tak potwornego krzywoprzysięstwa – nie boisz się zarazem ognia, który dokonuje zemsty na świętokradztwie i krzywoprzysięstwie, a który pochłonął na pustyni w jednej chwili dwustu pięćdziesięciu mężów z powodu popełnionej przez nich podobnej zbrodni? Wreszcie – czemuż to nie obawiasz się ziejącej i ku tobie otwartej ziemi, która pochłonie cię, Datana i Abyrona, spiskującego przeciw najwyższemu kapłanowi Chrystusa?”¹³. Nazbyt się zapomniałeś¹⁴! Nie widzisz chyba, jak wielka szkuje się

9 Lb 16, 1 i nn.

10 Ap 9, 11

11 1 Sm 19, 20

12 Lb 16

13 Lb 26, 10

14 Por. Erazm z Rotterdamu, *Enchiridion militis Christiani*, 9, 1

tobie, świętokradcy, kara w piekle, choć gdyby tylko nasi urzędnicy odznaczali się należytą surowością, już teraz powinienes odprawić doczesną pokutę i ponieść karę sprawiedliwą i zasłużoną. To ty bowiem jako pierwszy z heretyków odważyłeś się zbrudzić i pokalać uszy naszego króla twoimi ohydnyimi słowami, a niedoświadczonej tłuszczy poddawać plany wymierzone w majestat króla i królestwa, za których sprawą zupełnie postradamy tak króla, jak i królestwo.

Jeśli do tego dowiodę, iż pozbawiwszy arcybiskupa jego funkcji; nie tylko obalasz w Polsce króla i królestwo, ale wręcz szykujesz w Polsce haniebne i szpetne poddaństwo, czyż to nie wystarczy, by się przekonać, Stankarze, żeś wrogiem naszej ojczyzny, zdrajcą królestwa i zabójcą majestatu¹⁵? Dlatego też zanim cię oskarżę o obrazę majestatu, najpierw zawezwę, błagać będę i prosić moich współobywateli, by tu przybyli, spojrzeli i dowiedzieli się, jak niegodziwie owi zbiegowie wyrwają nam, Polakom, odziedziczoną po ojcach godność, wolność i pomyślność. By swój cel wnet osiągnąć, owi zbiegowie szykują sobie tę oto drogę: pozbawiają mianowicie arcybiskupa gnieźnieńskiego jego pieczy nad państwem i nie pozwalają mu troszczyć się o królestwo. To bowiem wszystko, co konieczne w naszym kraju dla ocalenia, a co zawiera się w zwyczajach przodków i w prawach naszego państwa, to też ukryte jest w opiece i pomocy samego arcybiskupa gnieźnieńskiego, wymierzonej przeciw przemocy i żądom silniejszych królów. On sam bowiem jeden stoi w Polsce naprzeciwko królów, by ich nieokiełznane żądze nie zapłonęły kiedyś przeciw wspólnej wolności. To z tego zapewne powodu jako jedyny spośród wszystkich innych biskup gnieźnieński zwie się w Polsce z dawien dawna nie tyle senatorem królestwa, co ojcem ojczyzny, nie posłem, lecz legatem apostolskim, nie drugim, lecz prymasem, to znaczy pierwszym mężem w narodzie. Te zaszczytne i piękne tytuły wskazują na moc i, by tak rzec, nadprzyrodzoną siłę samego arcybiskupa w państwie, a nie wyłącznie w sprawach boskich. Bowiem co dotyczy się spraw boskich, wystarczy mu być nazywanym przełożonym kultu i namiestnikiem biskupów. Gdy natomiast wejrzeć na sprawy państwowe – jest on zarazem i Ojcem, i Legatem, i pierwszym spośród wszystkich w Polsce. Nazwałem go pierwszym, gdyż to on wyświęca i zdejmuje z urzędu, jak wkrótce już będzie jasne, królów. To on również jako pierwszy przemawia w senacie, a gdy król łaknąc przewrotu, ociaga się, to on ma prawo zwołać zgromadzenie. Dalej: to właśnie jego posłano ze Stolicy Apostolskiej do Sarmacji jako sprawującego obrzęd i nauczyciela religii, aby obce nauki heretyków nie zaburzyły spokoju naszej Rzeczypospolitej. Wreszcie ów arcybiskup zwany jest najdosłowniej ojcem królestwa, ponieważ wszyscy inni w Polsce są wobec niego niczym synowie. Nawet jeśli któremuś z nich udaje się błyszczeć ponad innych, to na mocy szczególnego prawa właśnie arcybiskup zaznaje powszechnego szacunku. Chociaż ta wyjątkowa pozycja arcybiskupa gnieźnieńskiego w Polsce jest sama przez się oczywista, gdy wejrzeć na nasze prawo

15 Por. Cicero, *In Catilinam Prima senatu habita*: „Adsentirentur et Catilinam hostem patriae atque parricidam appellarent”.

cywilne, wykażę jednak, uciekając się również do przykładów, że rzecz się ma właśnie tak, jak twierdzę, dzięki czemu stanie się już jasne, iż godność arcybiskupa jako ojca istniała z dawien dawna u królów Polski i winna wciąż znaczyć tyle samo, jeśli chcemy, by Rzeczpospolita się ostała.

Stanisław Orzechowski (1513–1566), herbu Oksza, jeden z najważniejszych propagatorów polskiej kontrreformacji, autor niezwykle popularnych pism politycznych, religijnych i historycznych doby renesansu, zwolennik „złotej wolności” szlacheckiej, przeciwnik Andrzeja Frycza Modrzewskiego. Po studiach na Akademii Krakowskiej kontynuował naukę na uniwersytetach w Wiedniu, Wittenberdze, Lipsku, Padwie, Bolonii, Wenecji i Rzymie. Przyjaźnił się z Marcinem Kromerem. Po skończeniu nauk przyjął święcenia kapłańskie i został proboszczem. Początkowo sympatyzował z luteranizmem, potem z kalwinizmem, z czasem został radykalnym katolikiem i czołowym pisarzem kontrreformacyjnym. Jako przeciwnik bezżeństwa księży popadł w konflikt z Kościołem z racji najpierw chęci ożenku z Anuchną z Brzozowa, a następnie małżeństwa z Magdaleną Chełmską, z którą doczekał się dzieci. Autor m.in. *Dyalógu albo rozmowy około egzekucyjej Polskiej Korony* (1563), *Quincunxa* (1564), *Policyi Królestwa Polskiego na kształt arystotelesowych polityk wypisanej* (1566).

Powyższy fragment pochodzi z książki „Stanisława Orzechowskiego i Franciszka Stankara pisma o państwie i religii – »Chimera« i »Reguły reformacji«”, która ukazała się nakładem wydawnictwa WAM w czerwcu 2012 r., pod redakcją Krzysztofa Koehlera.

Wielka polska powieść

EWA THOMPSON

Postuluję: wielka polska powieść musi zostać napisana i naleciałości kolonializmu muszą z niej zniknąć. Polszczyznę trzeba odkolonizować i wydobyć z niej jej potencjał. Mimo że pole systemowe uszkodzono tysiące razy – to pole systemowe, które było kiedyś, w czasach renesansu i baroku, całkowicie nowe, lśniące i gotowe do użytku. Ta wielka powieść barokowa, która Europę Wschodnią opowiedziałyby Zachodowi, nie została napisana.

W jednym ze swoich widzeń Jakub Boehme rozmawia z szatanem, który mówi mu, że zbuntował się przeciwko Bogu, bo chciał napisać książkę. Książkę nieocenzurowaną przez Boga. Wyptywając z jego, szatana, ekskluzywnie własnego wnętrza. Bóg mu tego zabronił.

O co tu chodzi? Postmoderniści cytują ten ustęp łapczywie, aby udowodnić, że chrześcijański Bóg jest bogiem niewolników, że ogranicza wolność. Znamy ten argument z Fryderyka Nietzschego. Jest fałszywy, bo oparty na niezrozumieniu stosunku pomiędzy Stwórcą a stworzeniem. Stworzenie

realizuje się najpełniej w ramach tego, co umożliwił mu Stwórca. Odrzucenie tych ram jest jak morfina – po początkowej euforii jest to podróż do nicości.

Potęga tekstu a postkolonialne upupienie

Ale widzenie to przypomina również, że tekst pisany był i jest potęgą. Pomimo internetu, telewizji i Jacques'a Derridy, który w swoich zbyt gadatliwych tomach próbował *écriture* zdekonstruować.

Homi K. Bhabha uważał „przykładanie pisarskiej pieczęci do wydarzeń”



za strategię kolonialnego zniewolenia („Location of Culture”, 1994, str. 94). Kolonialny władca narzuca skolonizowanym słownictwo, tematy, formuły, horyzonty, skale porównawcze, którymi mają się posługiwać i w ramach których mają myśleć.

15 maja 2008 r., strona tytułowa pewnej polskiej gazety: „PO chce wykurzyć PiS”. Wyrażenie, sugerujące prymitywizm polskiej polityki, pogardę autorów dla tejże oraz nieproszoną poufalość wobec czytelnika. Prostaczki, niedbały język.

Witold Gombrowicz nazwałby taki styl upupieniem. Gazeta mówi do czytelnika w ten sposób: „Jesteś chamem i prostakiem, i twoi politycy są tacy sami. Właśnie dla takich robimy tę gazetkę. Nie dla ciebie wyrafinowany sposób wyrażania się »New York Timesa«. Jesteś człowiekiem, który nie ma większych marzeń niż ucieczka na wyspy jakieś tam, ot takim typowym Polaczkiem łakącym wysokich obcasów, który durniem pozostanie na zawsze i którego my tu staramy się trochę w chomąto politycznej poprawności wprowadzić”. Czyż nie tak rozumuje hegemon zastępczy w stosunku do już skolonizowanych?

W wywiadzie udzielonym Annie Poppek i Andrzejowi Gelbergowi i opublikowanym w „Tygodniku Solidarność” 11 listopada 1994 r. Zbigniew Herbert mówił o zapaści semantycznej języka polskiego. Pisali o tym później Ryszard Legutko i Maciej Urbanowski („Dziennik-Europa”, 17 maja 2008 r.). Kolonialni władcy cenią i pielęgnują ludzką niedojrzałość. Chodzi o to, by skolonizowanych nie dopuścić do dojrzałości, aby zawsze musieli uczyć się u Lepszych.

Jednym ze sposobów niszczenia pokonanych jest zachęcanie ich do zachowania uderzającego w ich godność osobistą. Mój mąż, który w ramach grantu ONZ na początku lat 90. zorganizował w polskich zakładach przemysłowych wdrażanie technik poprawy jakości produkcji, opowiadał mi, że polscy robotnicy byli superkompetentni, zaś ich szefowie gorzej niż beznadziejni; i że w fabrykach roito się od pornografii. Obsceniczne fotografie i rysunki były rozwieszone praktycznie przy każdej maszynie, najwidoczniej przy pełnej aprobacie komunistycznej administracji. Nowocześni kolonialiści znają potęgę pornografii jako oręża zniewolenia.

W Związku Sowieckim, a przedtem w Rosji carskiej, władze używały szpitali psychiatrycznych oraz leków, niszczących normalny stan świadomości, do unieszkodliwiania politycznych przeciwników. Gdy Piotr Czadajew napisał swoje słynne „Listy”, car Mikołaj I zlecił leczenie psychiatryczne, „bo tylko wariat mógłby tak pisać o Rosji”. Władcy Rosji sowieckiej i jej kolonii używali broni psychiatrycznej na wielką skalę. Ślady tego widać dziś nie tylko w tym kraju, ale niestety także w Polsce, gdzie w każdym nieomal zbiorze komentarzy pod artykułem czy blogiem znaleźć można sugestię, iż autor potrzebuje takiego rodzaju leczenia. Powielanie uwagi Mikołaja I, iż tylko wariat mógłby tak postąpić/napisać/powiedzieć, jest subtelną formą podporządkowania się kolonizatorowi, bo wprowadza do języka formuły myślenia zasugerowane przez kolonialistę.

Takie są sposoby kolonizowania wyobraźni i akuszerowania zapaści semantycznej.

O polszczyznę bez kolonializmu

Dlatego postuluję: wielka polska powieść musi zostać napisana i naleciałości kolonializmu muszą z niej zniknąć.

z użytku słowo „radziecki”. To obrzydliwe, wstrętne, narzucone słowo. To sowiecka, a nie radziecka armia napała na Polskę 17 września 1939 r.

Docenić antypolski jad!

Ta powieść musi się chyba wzorować na Fiodorze Dostojewskim, mniej

Żadne prawdziwie wielkie dzieło nie kończy się totalną przegraną – jak mówi przysłowie, trzeba wyrwać bolesne zwycięstwo z paszczy kłęski.

Polszczyznę trzeba odkolonizować i wydobyć z niej jej potencjał. Mimo że pole systemowe uszkodzono tysiące razy – to pole systemowe, które było kiedyś, w czasach renesansu i baroku, całkowicie nowe, lśniące i gotowe do użytku. Ta wielka powieść barokowa, która Europę Wschodnią opowiedziała Zachodowi, nie została napisana.

Wielka polska powieść musi być wolna od pojękiwania. Musi stać daleko od Mrożkowskiego „wybili, panie, wybili” z „Monizy Clavier”. Żadne prawdziwie wielkie dzieło nie kończy się totalną przegraną – jak mówi przysłowie, trzeba wyrwać bolesne zwycięstwo z paszczy kłęski. Wielka polska powieść musi odzwierciedlać polską wizję wolności, która sama w sobie jest już zwycięstwem i źródłem dumy: „Idę wyprostowany wśród tych, co na kolanach...”.

Podobno wiek powieści minął. Ale na opowieści zawsze jest zapotrzebowanie. Znajdzie się zapotrzebowanie na pisarza, który stworzy fabułę nie do przeoczenia i ubierze ją w polszczyznę, z której kolonializm wyciśnięto kropla po kropli. Moja prywatna prośba do potencjalnego autora: wyrzucić

na Lwie Totłostoj – nie ze względu na jakąś idiotyczno-sentymentalną słowiańskość, ale dlatego, że wszystkie liczące się narracje XX w. rozpoczęły od Dostojewskiego, zaś problemy metafizyczne, które wciąż fascynują, z niego się wywodzą. Być może istnieje coś, co można nazwać rytmem bytu w danej grupie językowej i co ten pisarz świetnie wykorzystał. Jakiś rytm języka, który skłania do myślenia i pisania w pewien sposób. Może polszczyzna też posiada to, co z języka rosyjskiego Dostojewski wydobył. Do tego dochodzą dylematy moralne, dla których polski logocentryzm (nawet ten z czasu pozaprzeszłego) stanowi świetne, jeżeli nie najlepsze, tło.

Zaś Totłostojem postużyć się nie można, bo to pisarz imperialny, a więc superoptymistyczny. „Wojna i pokój” pokazuje rozkwit rosyjskiej rodziny i ogłasza, że patriotyzm się opłaca. Piotr Biezuchow na początku powieści jest obibokiem bez grosza, zaś na jej końcu jest poważanym ojcem, mężem i magnatem – częściowo dlatego, że odziedziczył wielkie dobra pod Kijowem, odebrane kiedyś przez Katarzynę Kościotowi katolickiemu oraz polskim

i rusińskim magnatom. Takiej fabuły w polskiej narracji stworzyć się nie da.

W polskiej powieści trzeba zrobić to, co zrobił Dostojewski – on też, jak Tołstoj, proklamował Rosję, ale robił to nie przez pisanie laurek, lecz przez podsuwanie czytelnikowi nieprzekonywających antyrosyjskich argumentów i kontrowanie ich argumentami prorosyjskimi. W każdej z jego powieści ktoś złorzeczy Rosji – np. w „Biesach” Karmazynow poucza słuchaczy o słabości „Świętej Rosji”, nie mówiąc już o szkalowaniu jej przez Piotra Stepanowicza. Więc w takiej polskiej powieści musi się znaleźć antypolski jad różnych Normanów Rawitschów (amerykański historyk i polonofob, którego listy do redakcji są dziwnym trafem często drukowane), jak również jad ludzi o bardziej znanych nazwiskach. Ale musi się tam też znaleźć wiara w rolę polskości w historii Europy – nie tylko Karol Wojtyła czy Wiedeń, ale przede wszystkim „jedna z osiemnastu bitew, które zmieniły świat”, tak niechętnie widziana przez reprezentatywnych amerykańskich historyków, jak cała zresztą historia rekonstrukcji Polski. Odpowiedzieć na tę wszechobecną opinię, i to odpowiedzieć przekonująco – oto wyzwanie. Bo oczywiście narracja ta musi też przemówić „na językach”.

Świat podbili, ale dusze stracili

Powieściopisarze XX w. zbyt często grają na jednej strunie – Albert Camus, Jean-Paul Sartre, cała ta armia specjalistów od strumienia podświadomości. Monologują zawzięcie już przeszło stulecie. Dobrzy pisarze, ale gdzie im do zaistnienia poza swoim sezonem. Wielki

Polski Pisarz nie może się od nich wiele nauczyć.

Fantastyczna narracja Michaela Ende „Momo”, o bezdomnej dziewczynce, która miała talent słuchania, i o panach w szarych garniturach mówiących o tym, że trzeba organizować, załatwiać, kategoryzować – a w gruncie rzeczy tworzyli umarły czas. Takie nieco zapomniane bestsellery mogą zainspirować.

Polskie imigrantki pracują za grosze jako gosposie domowe u nowojorskich prawników i lekarzy, którzy w swoim codziennym harmonogramie nie mają luźnej minuty – czy to one tracą czas, czy ich chlebobawcy? Wychodząc po pracy z domu, gosposie patrzą na zachód słońca i wieściorki w parku, zamyślają się i zyskują czas. A ich chlebobawcy, którzy uważają je za głupie, to panowie w szarych garniturach z „Momo”. Cały świat podbili, ale dusze stracili. Specyficznie polskie zamyślenie nad rzeczywistością – polska intuicja czasu straconego i czasu zyskanego. Oznaka, iż się przetrawiło Marcela Prousta i poszło dalej. Czy ten motyw dałoby się do powieści wpleść, tak jak Dostojewski wplatał do „Idioty” motyw rodziny Iwotżynów?

Przed wszystkim jednak rzeczy najważniejsze: pożądanie samowypełnienia i konkurencja z Bogiem, tak brutalnie wyrażona w twórczości Dostojewskiego. To są rzeczy dziś nie mniej aktualne niż w wieku XIX. Czy polski pisarz potrafi odpowiedzieć w tonacji innej niż ta znana z „Braci Karamazow”? Czy potrafi stworzyć bohatera, który opowie polskość tak, jak bracia Karamazow opowiadali rosyjskość? Czy Maksymilian lub Faustyna mogą

wygenerować kogoś nie mniej wiarygodnego niż Zosima? Ten ostatni to przecież wymysł genialnego pisarza, zaś tu mamy Świętych z krwi i kości. A może w kartach jest też mariaż Johna R. R. Tolkiena z Gombrowiczem?

To „stawianie się” Bogu, które pojawia się w człowieku z podziemia, a potem w Iwanie Karamazowie, wyraża

nadana ludzkości przez Boga. To, że wśród Polaków nieświadomy często logocentryzm wciąż gra znaczącą rolę, powinno być źródłem inspiracji – tak jak predylekcja do wolności. Wbudowanie tych prawd w wielkie pożądania bohaterów walczących z Bogiem – oto zadanie. Czekam więc na „zmarmurzającą” polską rzeczywistość

Wielka polska powieść musi odzwierciedlać polską wizję wolności, która sama w sobie jest już zwycięstwem i źródłem dumy: „Idę wyprostowany wśród tych, co na kolanach...”.

się w pisaniu. Iwan pisze swoją legendę o Wielkim Inkwizytorze, człowiek z podziemia spisuje swoje resentymenty. Szatan z widzenia Jakuba Boehmego pisze swoją książkę. Ci Autorzy wierzą, że twórczość da im klucz do niezależności, której pożądają. To pożądanie jest chyba najambitniejszym tematem wielkich pisarzy. Czy zamiast zwrócić na to uwagę, polscy literaci będą wciąż grać na cienkiej struncie niby-to-dowcipnych historyjek (Jerzy Pilch), podróży à la Jack Kerouac (Andrzej Stasiuk), czy postkomunistycznego pobjawiska (Dorota Mastowska)?

Ożywić polski logos

Myślę, że logocentryzm polskiej kultury mógłby tu poprosić o głos. Polski historyczny *Weltanschauung*, który zakłada, że wszechświat jest w jakiś sposób uporządkowany i że kategorii takich jak dobro i zło nie da się zrelatywizować. Jakże bowiem bez tych kategorii nazwać prawidłowo mordy, kłamstwa i fałszerstwa, z których pomimo wszystko wyłania się godność,

wielką powieść, zanim kruki i wrony rozdziobią polski *Weltanschauung*. Czy polski powieściopisarz to potrafi? Musi potrafić.

Ewa Thompson (ur. 1937), literaturoznawczyni, profesor literatury porównawczej i slawistyki na Rice University w Houston, redaktor naczelna kwartalnika „Sarmatian Review”. W 1963 r. ukończyła studia filologii rosyjskiej i angielskiej na Uniwersytecie Warszawskim, jest także absolwentką Konserwatorium Muzycznego w Sopocie, doktoryzowała się na Vanderbilt University w Nashville w 1967 r. W latach 1973–1974 była profesorem nadzwyczajnym na Uniwersytecie Virginia. Eseistka i publicystka; w Polsce pisuje w „Rzeczach Wspólnych”, „Tekstach Drugich”, „Arcanach”, a w USA m.in. w „The Washington Times”, „Slavic and East European Journal”, „Modern Age”, „Slavic Review” i „Houston Chronicle”. Autorka wielu książek, po polsku ukazały się: *Trubadurzy imperium. Literatura rosyjska i kolonializm* (2002) i *Witold Gombrowicz* (2002).

REDAKCJA

Krzysztof Bosak, Bartłomiej Radziejewski (redaktor naczelny), Piotr Trudnowski, Maciej Trząski (sekretarz redakcji), Stanisław Tysza, Marek Wróbel

WSPARCIE

Numer nie powstałby bez wsparcia finansowego
mec. Jacka Bartosiaka i Pana Dariusza z Warszawy.
Chcesz zostać jednym z Darczyńców? Zobacz szczegóły na tylnej okładce.

Okładka: Piotr Promiński

Ilustracje: Wojciech Pawliński, Piotr Promiński

Skład i organizacja druku: PanDawer

Korekta: Przemysław Skrzydelski

Promocja, sprzedaż, dystrybucja: Piotr Trudnowski,
kontakt: p.trudnowski@rzeczywspolne.pl

Prenumerata: Piotr Trudnowski,
kontakt: prenumerata@rzeczywspolne.pl

Stali współpracownicy:

Michał Beim, Władysław Józwicki,
Bartłomiej Kachniarz, Andrzej Maśnica,
Rafał Matyja, Barbara Molska,
Agnieszka Nogal, Aleksandra Rybińska,
Stefan Sękowski, Zbigniew Stawrowski,
Tomasz Szatkowski, Dawid Wildstein,
Remigiusz Włast-Matuszak

PISMO

Wydawca: Fundacja Republikańska

Kontakt z redakcją: redakcja@rzeczywspolne.pl

ul. Kopernika 30, lok. 421

00-950 Warszawa

tel.: +48 22 891 07 37

Zachęcamy do odwiedzania strony www.rzeczywspolne.pl
i naszego profilu na Facebooku.

Uwaga: w sierpniu zmiana
siedziby Redakcji i Fundacji.
Szczegóły na
www.rzeczywspolne.pl



RZECZY WSPÓLNE
PISMO REPUBLIKAŃSKIE
NR 9 (3/2012)
Cena: 25 PLN (5% VAT)
ISSN 2081-5417
Indeks: 2714467
Nakład 2500 egz.

Aby zaprenumerować pismo „Rzeczy Wspólne”
prosimy o wysłanie e-maila na adres:
prenumerata@rzeczywspolne.pl.

Redakcja zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów i zmiany tytułów.
Materiałów niezamówionych nie odsyłamy.
Redakcja „Rzeczy Wspólnych” nie ponosi odpowiedzialności za treść
i formę reklam.

„Rzeczy Wspólne” to kwiat nowego pokolenia polskiej inteligencji.

prof. Jadwiga Staniszkis, socjolog

„Rzeczy Wspólne” są odtrutką na zalewający nas „postpolityczny” bełkot.

Bronisław Wildstein, pisarz i publicysta

„Rzeczy Wspólne” to najciekawszy obok „Arcanów” periodyk prawicy intelektualnej.

Ludwik Dorn, b. Marszałek Sejmu

„Rzeczy Wspólne” próbują spojrzeć na kwestie publiczne nie przez pryzmat personalnych sympatii i antypatii, tylko przez pryzmat realnych problemów, które mają Polska i Polacy.

prof. Antoni Dudek, historyk

Wesprzyj „Rzeczy Wspólne”!

Kwartalnik „Rzeczy Wspólne” to priorytetowy projekt Fundacji Republikańskiej służący podnoszeniu jakości debaty publicznej i formowaniu przyszłych elit intelektualnych i państwowych w duchu prymatu dobra wspólnego. Choć regularne wydawanie i promowanie kwartalnika jest ogromnym obciążeniem finansowym i organizacyjnym dla młodej instytucji obywatelskiej, jaką jest Fundacja Republikańska, nie chcemy rezygnować z tworzenia prestiżowego pisma, które w ciągu dwóch lat istnienia na rynku zdobyło sobie rzeszę oddanych Czytelników.

Stale pracujemy nad dostosowaniem pisma do Państwa oczekiwań. Organizujemy kolejne spotkania i debaty dla Czytelników, wprowadzamy nowe kanały dystrybucji, rozbudowujemy prenumeratę. Dzięki wsparciu Darczyńców studentom i uczniom szkół średnich oferujemy nasze pismo w prenumeracie w cenie 16 złotych za numer. Jeżeli chcesz wesprzeć istnienie i rozwój „Rzeczy Wspólnych”, rozważ dołączenie do grona Darczyńców lub Prenumeratorów.

Rozważ wsparcie finansowe „Rzeczy Wspólnych”!
Nawet niewielkie regularne wpłaty mają dla nas wielkie znaczenie.

Fundacja Republikańska
Alior Bank 84 2490 0005 0000 4520 9156 1754
z dopiskiem darowizna na „RW”

Wejdź na stronę

www.rzeczywspolne.pl/prenumerata

lub zamów pismo mailem pod adresem prenumerata@rzeczywspolne.pl.

